



JAMES OLIVER CURWOOD

Złote sidła


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

JAMES OLIVER CURWOOD

Złote sidła

TŁUM. KAZIMIERZ RYCHŁOWSKI

ROZDZIAŁ I. BRAM JOHNSON I JEGO WILKI¹

Bram Johnson był istotą niezwykłą, jakich niewiele spotyka się nawet w pustkowiach Northlandu².

Były chwile, kiedy można było uważać go za człowieka posiadającego rozum i duszę; w innych zaś przypominał raczej jakąś straszliwą apokaliptyczną bestię. Czy posiadał naprawdę to,

¹Rozdział I. *Bram Johnson i jego wilki* — w dostępnych wydaniach ang. rozdziały są tylko numerowane, nie mają tytułów. [przypis edytorski]

²*Bram Johnson był istotą niezwykłą, jakich niewiele spotyka się nawet w pustkowiach Northlandu* — Pod mianem „Northland” rozumie się północny cypel Ameryki dochodzący do koła podbiegunowego. Jest to niemal pustkowie, na którym zanikają wszelkie ślady cywilizacji. [przypis tłumacza]

co powszechnie nazywamy duszą? Jeżeli tak, to dusza ta zatajona była głęboko, gdzieś w niedostępnych czeluściach borów i dzikich pustkowi, wśród których rozwijała się. Toteż nie będziemy potępiać Brama nierozważnie w niniejszym opowiadaniu. Ostrożność w osądzeniu bliźnich zawsze jest wskazana.

Aby zdać sobie dokładnie sprawę z tego, kim był właściwie Bram Johnson, musimy cofnąć się o trzy generacje wstecz. Jeżeli lekkim pirogiem puścimy się z Jeziora Athabaska w kierunku północnym, aż do Wielkiego Jeziora Niewolników, a stamtąd korytem rzeki Mackenzie w stronę koła podbiegunowego, napotkamy na tej drodze przeróżne typy etniczne. Najpierw Indian ze szczepu Chippewayów, ludzi smukłych i zwinnych, o pociągłej twarzy, używających lekkich, mocno wygiętych łódek. Potem szczep Cree, którego przedstawiciele odznaczają się twarzą więcej okrągłą, oczami bardziej skośnymi. Są to ludzie ospali, spokojni, a łodzie, jakimi się posługują, zbudowane są z kory bambusowej i mają dziwaczny kształt.

W miarę posuwania się ku północy, zatracają pierwotną czystość swej rasy, stając się stopniowo podobnymi do Japończyków. I znowu napotykamy szczep Chippewayów, który jednak w tej szerokości geograficznej uległ dużemu przeobrażeniu. W miarę zbliżania się do koła podbiegunowego, zaczynają oni używać „kajaków” zamiast pirog, rysy ich twarzy stają się bardziej rozlane, oczy skośnie osadzone, małe jak u Chińczyków. Są to owi Eskimosi, jak ich nazywają w podręcznikach geografii.

Jeden z przodków Brama Johnsona musiał przed paruset laty wywędrować z południa ku północy. Krew jego dzieci i ich potomków zmieszała się z krwią szczepu Chippewayów i Cree, a z biegiem czasu i z krwią Eskimosów. A co najciekawsze, imię Johnson przechodziło stale z jednej generacji na drugą. Ale gdyby ktoś ciekawy zajrzał do namiotu, w którym obecnie mieszkał Bram Johnson, licząc na to, że znajdzie tam człowieka białego, spotkałaby go niespodzianka.

Bram Johnson, w następstwie tego krzyżowania się rozmaitych ras, tylko z koloru skóry, włosów i oczu przypominał człowieka białego, pozostałe zaś, to cechy charakterystyczne dla plemienia Eskimosów, z którego pochodziła jego matka. W jednym tylko jeszcze odbiegał od tego typu: mierzył sześć stóp³ wysokości.

Był to prawdziwy olbrzym, o niesłychanej sile fizycznej, twarz szeroka, o wystających kościach policzkowych, nos spłaszczony, wargi grube. Skórę na twarzy jednak miał zupełnie białą, włosy bujne, rude, twarde jak szczecina, oczy duże, błękitne. Czasami, zwłaszcza gdy był poirytowany, oczy te przybierały kolor szary, niby oczy kota, świecąc nagłym, dzikim blaskiem.

Bram nie miał żadnych przyjaciół ani towarzyszy. Otaczała go jakaś dziwna tajemniczość... Jeżeli zaglądał czasem do jakiejś faktorii, to tylko na krótki czas, aby nabyć nie-

³*stopa* (ang. *foot*, 1m *feet*) — ang. miara długości, dziś ok. 30,48 cm (daw. w Europie 27–35 cm). Sześć stóp to ok. 180–190 cm; w XIX i na początku XX w., zwłaszcza w trudnych warunkach północnych, ludzie rzadko osiągnęli tak wysoki wzrost. [przypis edytorski]

co potrzebnych mu rzeczy w zamian za skórki dzikich zwierząt, które przynosił. Mijały długie miesiące, a Bram nigdy nie pokazywał się ponownie w tym samym miejscu. Ustawicznie wędrował po świecie.

Policja lotna „Royal North-West” miała go na oku, nie gubiąc nigdy jego śladów. W raportach, składanych przez wysunięte daleko na północ placówki policji, spotyka się niejednokrotnie lakoniczne wzmianki o Bramie, tej mniej więcej treści: „Widzieliśmy Brama z wilkami, szedł w kierunku północnym...” — „Bram ze swoimi wilkami przechodził tędy...” Potem w ciągu dwóch lat zginął bez śladu — powędrował prawdopodobnie gdzieś w okolice Jeziora Niedźwiedzi. A kiedy znów się zjawił, policja zaczęła się nim interesować jeszcze bardziej. Zachowanie jego wydawało się bowiem dziwnie podejrzane. Coś musiało się stać, prędzej czy później.

I rzeczywiście to „coś” stało się. Bram zabił człowieka. A zabił go tak szybko i zręcznie,

że zanim odkryto to zabójstwo, po Bramie nie było już ani śladu.

Wkrótce, w dwa tygodnie później, rozegrała się nowa tragedia. Kapral policji Lee, w towarzystwie jednego ze swych ludzi, wyruszył z fortu Churchill celem schwytania i aresztowania Brama. Odszukał go gdzieś na granicach Barrenu⁴. Posuwali się z całą ostrożnością, by dogonić go i schwycić. Nagle, gdy byli w odległości około ćwierć mili, usłyszeli głośny, niesamowity śmiech. Bram nie atakował ich, nie strzelił ani razu. Poszczuł tylko na nich swoje wilki. Cudem prawdziwym kapral Lee nie zginął na miejscu. Ciężko pokaleczony dowlóknął się do chaty pewnego Metysa i tam wkrótce wyzionął ducha. Metys poszedł do fortu Churchill i opowiedział całe to zdarzenie.

Od tej chwili Bram zniknął zupełnie ze świata.

Ach, gdyby można opisać i opowiedzieć szczegółowo te cztery czy pięć lat tortur i męczar-

⁴*Barren* — ogólna nazwa, nadawana pustyniom i nieurodzajnym okolicom północnej Kanady. Słowo to, nie dające się na polski przetłumaczyć, ma podobne znaczenie, jak np. dżungla, step, pampasy itp. [przypis tłumacza]

ni, jakie Bram przeżywał w samotności — niejedno zostałooby mu przebaczone! Bram i jego wilki! Czyliż samo zestawienie tych słów dreszczem was nie przejmuje? Pomyślcie tylko: zawsze sam, sam jeden, w towarzystwie wilków. Nigdy nie słyszał mowy ludzkiej. Nigdy nie mógł zbliżyć się nawet do jakiejś faktorii, by zakupić nieco żywności! Po prostu człowiek-zwierzę, prawdziwy wilkołak!

W ciągu trzech ostatnich lat Bram przeprowadził stopniowo jak najstaranniejszą selekcję między swymi wilkami. Pozbył się wszystkich mieszańców-wilczurów, zachowując dla siebie tylko dwadzieścia wilków najczystszej krwi. Sam je wychowywał od maleńkich szczeniaków, przywiązał się do nich równie silnie jak one do niego. One zastępowały mu rodzinę, braci, siostry. Spał razem z nimi, jadł z nimi, cierpiał głód na równi z nimi wtedy, kiedy brakowało im świeżej żywności. One były mu całym towarzystwem i najpewniejszą opieką. Skoro zabrakło mięsa, puszczał swą hor-

dę wilków na trop jakiegoś łosia czy karibu⁵. W pościgu za zwierzem wilki zapędziły się nie-raz o kilka czy kilkanaście mil naprzód. Ale Bram doganiał wkrótce całą horde i zawsze znalazł się dla nich porządny kawał mięsa.

Cztery lata takiego życia! Policja wprost wierzyć w to nie chciała. Uśmiechali się z niedowierzaniem, kiedy do uszu ich dochodziły z daleka wieści, że Bram żyje, że go widziano, że słyszano jego potężny głos i straszliwe wycie wilków, że Metysi i Indianie w różnych stro-nach natrafiają na jego ślady.

W opowiadaniach o Bramie było też du-żo przesady i śmiesznych, fantastycznych do-datków. Indianie uważali Brama za istotę nad-przyrodzoną, za czarownika, który zaprzedał du-szę swą diabłu i w zamian za to może dowolnie latać w powietrzu. Znajdowali się ludzie, któ-rzy całkiem serio przysięgali się, że widzieli na własne oczy, jak Bram razem z hordą swych wilków latał po niebiosach, polując na jakieś potworne bestie.

⁵*karibu* — gatunek rena. [przypis redakcyjny]

Dość na tym, że policja przekonana była, że Bram od dawna już nie żyje. Tymczasem on, uciekając przed ludźmi, coraz bardziej zbliżał się i upodabniał do swych braci-wilków.

Jednak w żyłach jego płynęła krew białych ludzi. I Bram coraz gwałtowniej, coraz silniej tęsknił za głosem ludzkim. Pragnienie to rozsadzało nieraz jego potężne piersi. A jednak, Bram nie kochał nigdy w życiu żadnego człowieka.

Pragnienie to właśnie dało początek strasz-
nemu dramatowi, w którym dwoje ludzi —
mężczyzna i kobieta — odegrało niepoślednią
rolę.

ROZDZIAŁ II. OSOBLIWE ODKRY- CIE

Mężczyzna ów nazywał się Filip Brant⁶.

Tego wieczoru siedział on w chatce Piotra Breault, rozdzielony stołem od gospodarza. Od

⁶*Brant* — w oryginale nazwisko bohatera brzmi: Raine, Philip Raine. [przypis edytorski]

pieca, rozpalonego do czerwoności, biło ciepło na całą izbę. Był późny wieczór.

Piotr Breault, który polował na lisy, zbudował sobie chatkę na skraju wąskiego pasa szpilkowego lasu, wrzynającego się w obszar Barrenu. Spoza ścian chatki dochodziło żałosne, ponure wycie wichury. Tam dalej, w kierunku wschodnim, była Zatoka Hudsona. Wystarczyło otworzyć drzwi chatki, by posłyszeć głuche, nieustannie przeciągłe grzmoty idące z tamtej strony. Huczało i grzmiało morze, walcząc z lodami zaścielającymi Zatokę Hudsona. Czasami rozlegał się głośniejszy huk, gwałtowny niby wystrzał armatni. To pękały góry lodowe, waląc się w fale morskie.

W kierunku zachodnim przestrzeń pusta, gładka, bez żadnych wyniosłości, skał czy zarośli. To Barren, nad którym przez cały dzień zwisa nisko niebo szare, niby gruba ciężka zasłona, zabarwiona miejscami purpurowo, z którego zda się, lada chwila, runą na ziemię zwały śnieżne. Jeszcze straszniejsze wrażenie robiło to

w nocy, kiedy wiatr zawodził żałośnie i wokoło rozlegały się piski białych lisów.

— Jak pragnę zbawienia mej duszy — powtarzał Breault — widziałem go na własne oczy...

Filip Brant przestał się uśmiechać z niedowierzaniem. Wchodził on w skład patrolu policyjnego, stacjonującego w forcie Churchill. Doskonale wiedział, że Piotr Breault był człowiekiem odważnym, bowiem inaczej nie ośmieliłby się osiedlić w tym miejscu, w pustkowiu Barrenu. Wiedział też, że Breault nie był wcale przesądnym i zabobonnym, jak to się często zdarza u ludzi w tym zawodzie, bo gdyby tak było, już dawno uciekłby stąd, nie mogąc znieść tych tajemnych jęków i pisków, jakie rozlegają się każdej nocy w tych pustkowiach.

— Przysięgam panu! — powtórzył Breault.

Filip słuchał go rozgorączkowany, rumieńce wystąpiły mu na twarzy. Zaciśnięte pięści oparł mocno o stół. Był to mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu lat, smukły i doskonale zbudowany. Oczy miał jasne, błękitne, o poły-

sku stali. Kiedyś, dawniej, ubierał się eleganc-ko, jak wszyscy ludzie cywilizowani. Mieszkał wówczas w dużym mieście. Obecnie odziany był w ubranie ze skóry karibu, o wystrzępio-nych rękawach. Na rękach rysowały się gru-be żyły, a na twarzy zmarszczki głębokie, wy-żłobione wśród nieustannych walk z przyrodą, burzami i wichrami.

— To niemożliwe — odparł. — Bram John-son nie żyje.

— Żyje, proszę pana!

W głosie Piotra Breault wyczuwało się dziw-ne drzenie.

— Gdybym wiedział to tylko ze słyszenia, gdybym go nie widział na własne oczy, wtedy mógłby pan mieć pewne wątpliwości.

Oczy płonęły mu dziwnym blaskiem. Sil-niejszym nieco głosem zaczął opowiadać:

— Siedziałem tu, w tej samej chacie, kie-dy nagle posłyszałem wycie jego wilków. Pod-szedłem do drzwi, otworzyłem je i przystaną-łem, starając się dojrzeć coś w ciemnościach nocy. Byli już niedaleko i zbliżali się szybko.

Posłyszałem stuk kopyt karibu na zamarzniętym śniegu. Przebiegł niedaleko mej chaty w pełnym galopie. A w ślad za nim pędziła horda wyjących wilków. Nad ich wyciem górował głos potężny, tak mocny, jakby dziesięciu ludzi krzychało jednocześnie. Poznałem natychmiast ten głos: to głos Brama Johnsona! Połował na zwierza ze swymi wilkami. Tak jest, on żyje. I to jeszcze nie wszystko. Tak jest, to nie wszystko jeszcze.

Mówił gorączkowo, z coraz bardziej wzrastającym wzruszeniem. Filip Brant słuchał go uważnie. Zaczynał już wierzyć, że to, co mu Piotr mówi, jest jednak prawdą.

— No, a potem? — zagadnął. — Widziałeś go pan kiedy jeszcze?

— Owszem — potwierdził Piotr. — I to zupełnie z bliska. Ale to, co wówczas zrobiłem, tego nie powtórzyłbym po raz drugi, choćby mi za to obiecywano wszystkie lisy, jakie gniezdzą się między Jeziorem Athabaska a Zatoką Hudsona. Byłem wtedy jak nieprzytomny. Jak urzeczony wybiegłem z chaty i puściłem się za

nimi. Szedłem po śniegu, za śladami wyciśniętymi przez łapy wilków i szerokie narty Brama. Aż w końcu usłyszałem szczekanie potężnych zębów wilczych, szarpiących mięso karibu i jakiś radosny ryk ludzki. Bram dopadł swej ofiary i dzielił się łupem z wilkami. Na szczęście wiatr miałem pomyślny, dzięki czemu ta horda nie mogła zwietrzyć mojej obecności. Ale gdyby tak kierunek wiatru się zmienił, co by się ze mną stało, na Boga?!

Wstrząsnął się cały nerwowo, załamując palce, aż trzeszczały.

— A jednak, proszę pana, nie ruszyłem się z miejsca, siedziałem ukryty za wysoką zaspą śnieżną. Po dobrej chwili Bram ze swą hordą ruszyli dalej. Wówczas podszedłem do leżącego na śniegu karibu. Był to duży, tłusty samiec. Obie tylne szynki miał zupełnie odcięte. Ruszyłem w dalszą drogę, za śladami Brama. Noc była tak ciemna, że na dziesięć kroków zupełnie nic nie widziałem. Doszedłem w ten sposób w pobliże małego lasku. Tam to Bram rozpałił ognisko. Mogłem mu się doskonale przyj-

rzeć. Poznałem go od razu, bo już przedtem, przed owym morderstwem, zaglądał dwukrotnie do mojej chatki. Rysy twarzy nic mu się nie zmieniły. Siedział otoczony swymi wilkami, głaskał je, mówił do nich, śmiejąc się dziwnie. Widziałem doskonale potężne, błyszczące zęby tych bestii. Patrzyłem, jak ocierały się jeden o drugiego, wtedy nagle oprzytomniałem. Zawróciłem i popędziłem z powrotem w kierunku chatki. A biegiem tak szybko, że nawet i wilki, zdaje mi się, nie zdołałyby mnie doścignąć... I to jeszcze nie koniec.

Wpatrywał się uważnie w Branta, wyłamując nerwowo palce.

— Wierzy mi pan teraz?

Filip potrząsnął głową.

— Zasadniczo wydaje mi się to niemożliwe. A jednak wierzę, że nie było to tylko przywidzeniem.

Piotr Breault odetchnął z widocznym zadowoleniem. Podnosząc się powoli z krzesła zagadnął:

— A będzie mi pan wierzył, jeżeli opowiem mu⁷ i resztę?

— Będę.

Piotr przeszedł do sąsiedniego pokoiku, służącego mu za sypialnię. Wyszedł stamtąd, niosąc w ręku mały woreczek ze skóry renifera, w którym zazwyczaj nosił hubkę i krzesiwo.

— Na drugi dzień — podjął opowiadanie — wróciłem znów na to samo miejsce, gdzie widziałem Brama. Bram już dawno poszedł w dalszą drogę ze swymi wilkami.

Resztę nocy przespał pod gałęziami dużego świerku, a potem poszedł dalej. Tam, gdzie szedł, śnieg wydawał się po prostu jakby gładko zmieciony — takie szerokie ślady pozostawiały na nim olbrzymie buciska tego potwora. Rozglądałem się uważnie dookoła, w nadziei, że znajdę może jakikolwiek przedmiot pozostawiony przez Brama w miejscu jego noclegu. I wreszcie znalazłem to.

Zaczął rozwiązywać mały woreczek ze skóry renifera. Filip Brant czekał w milczeniu.

⁷*mu* — tu: daw. forma grzecznościowa, dziś: panu. [przypis edytorski]

— Są to, proszę pana — mówił Piotr — sidła na zające; widocznie wypadły mu z kieszeni podczas snu.

Podał je Filipowi.

Zawieszona u powały lampka oliwna oświetlała słabo stół, przy którym siedzieli. Filip Brant przyjrzał się uważnie owym sidłom i z piersi jego wyrwał się okrzyk zdumienia.

Piotr Breault czekał na ów okrzyk. Oto z początku nie chciano wierzyć temu, co mówił. Teraz on triumfował, radość biła z jego twarzy. A Filip niemal zatrzymał dech w piersi, wpatrując się z całym natężeniem w ów tajemniczy przedmiot, trzymany w ręku, a błyszczący w świetle lampki. Tak, nie było wątpliwości: były to sidła, długie mniej więcej na jeden jard⁸, z węzłem na jednym końcu, z ową typową pętlą „chippewayską” na drugim.

W gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego.

Tak, tylko że sidła te zrobione były ze złotych włosów kobiecych!

⁸jard (ang. *yard*) — ang. miara długości, ok. 914 mm. [przypis tłumacza]

ROZDZIAŁ III. BRANT POSTANAWIA DZIAŁAĆ

Zdarza się nieraz, że pod wpływem jakiegoś gwałtownego bodźca człowiek, nie zastanawiając się, podejmuje od razu jakieś postanowienie.

Filip Brant, po owym mimowolnym zupełnie okrzyku zdziwienia, który wyrwał mu się z ust, siedział w milczeniu. Nie rzekł ani słowa do Piotra. Wiatr ucichł, zaległa cisza, przerywana jedynie monotonnym tykaniem zegarka Piotra. Breault z wolna podniósł głowę, pochyloną nad jedwabistymi siłkami. Oczy jego spotkały się ze spojrzeniem Branta.

Obaj mężczyźni mieli jednakie myśli w tej chwili. Gdyby owe włosy były czarne... Gdyby były brunatne... lub choćby jasnobłond, rudawe, jakie spotyka się u Eskimosek, mieszkających w dolnym biegu rzeki Mackenzie... Ale nie, miały one kolor złocisty, kolor czystego płynnego złota!

Filip nie mówiąc nic, wydobył z kieszeni nóż i przeciął kilka włosów powyżej dru-

giego węzła. Włosy rozplotły się i spłynęły na stół lśniąca, miękka i jedwabista falą. Kolor ich był jasnozłoty, zupełnie niezwykły. Podobnego koloru włosów Filip nigdy jeszcze nie widział. I równocześnie pomyślał z podziwem, ile to potrzeba było cierpliwości i zręczności, by upleść z nich takie sidła.

Spojrzał na Piotra z niemym pytaniem.

— Znaczy to — odezwał się Piotr — że Bram musi mieć jakąś kobietę...

— Z pewnością — przytaknął Brant. — Kobietę żywą lub...

Nie dokończył zdania. Rozumieli się doskonale. Jedno i to samo okropne pytanie dręczyło ich umysły. Piotr wzruszył tylko ramionami. Cóż można było na to pytanie odpowiedzieć? Wzdrygnął się, bo oto niespodziewany powiew wiatru wstrząsnął gwałtownie drzwiami.

— Ej, do licha! — zakrzyknął, odzyskując całą zimną krew, i odsłaniając w uśmiechu swe białe zęby, dodał: — zdenerwowała mnie już ta cała historia. Bram ze swoimi wilkami

i te osobliwe sidła... wieczorem... przy świetle lampki...

Rzucił znów okiem na leżące na stole włosy.

— Zastanów się pan — podjął Filip. — Widziałeś już kiedyś włosy podobnego koloru?

— Nie, nigdy w życiu.

— A przecież widziałeś już niejedną białą kobietę, czy to w forcie Churchill, czy w York Factory, czy w Cumberland House, Norway House lub w forcie Albany!

— Naturalnie! I w innych stronach także, ale nigdy nie spotkałem kobiety, która miałaby włosy tego koloru.

— A Bram, o ile nam wiadomo, nie zapuszczał się nigdy dalej na południe jak do fortu Chippewyan. Wszystko to razem wydaje mi się zupełnie niezrozumiałe. A ty, co sądzisz o tym? No, mówże! O czym tak myślisz?

— O czym myślę? — powtórzył powoli Piotr, wpatrując się w swego gościa — myślę o wilkołaku... o owych czasach... i zaczynam

powoli w nie wierzyć, choć wcale nie jestem zabobonnym... wcale nie...

Z pewnym zażenowaniem mówił dalej niepewnym głosem:

— Ale, widzi pan, ludzie opowiadają o Bramie i jego wilkach takie potworne historie. Podobno, jak mówią, zaprzedał on swą duszę diabłu i w zamian za to może, kiedy mu się tylko spodoba, latać w powietrzu lub przemieniać się w wilka. Opowiadano mi, że widzieli go ludzie, jak gdzieś wysoko na niebie śpiewał jakąś dziwą piosenkę, przy akompaniamencie wyjących wilków. Natknąłem się też na szczep Indian, pogrążonych w modłach i adoracji, bo widzieli Brama otoczonego wilkami, jak budował sobie zaklęty pałac w samym środku chmury, błyskającego gromami. Wobec tego nic dziwnego, że Bram łapie zające w sidła, splecione z włosów kobiecych.

— I równie nic dziwnego, że potrafi włosom czarnym nadać kolor złocisty — wtrącił Filip.

— Ha, co w tym wszystkim jest prawdą? Któż to może wiedzieć?

Na twarzy Piotra wyczytać można było wewnętrzną walkę. Starał się otrząsnąć z owych przesądów i zabobonów, które drzemały dotąd gdzieś na dnie jego duszy, a obecnie nagle odezwały się z całą siłą. Wreszcie zacisnął mocno zęby, wyprostował się i odrzucając głowę w tył, oświadczył:

— Wszystko to są tylko bajeczki, proszę pana. Umyślnie pokazałem panu te sidła. Bram Johnson nie umarł. On żyje! I ma u siebie jakąś kobietę, o ile...

— Tak... o ile...

I znowu przemknęła im ta sama straszna myśl, której wypowiedzieć głośno nie mieli odwagi.

Filip owinął ostrożnie pukiel włosów wokół palca. Wydobył z kieszeni mały skórzany woreczek i schował do niego owe niezwykle sidła. Potem nabił fajeczkę tytoniem i zapalił. Podszedł do drzwi, otworzył je i stał chwilę nieruchomo, wsłuchany w ponury świst wi-

chru. Piotr siedział dalej przy stole, obserwując go uważnie.

Wreszcie Filip zamknął drzwi i zajął swe miejsce przy stole. Widać było, że już powziął jakąś decyzję.

— Stąd do fortu Churchill jest 300 mil angielskich — mówił z namysłem. — Mniej więcej w połowie drogi, w pobliżu Jeziora Jezusa, znajduje się kwatera Mac Veigha i jego ludzi. O ile wybiorę się w pościg za Bramem, musiałbym przesłać krótki raport do Mac, następnie dalej, do fortu Churchill. Słuchaj tedy, Piotrze: czy mógłbyś na parę dni zostawić w spokoju twoje łapki na lisy i zanieść ten mój raport?

— Dobrze, zaniosę — odparł Piotr po krótkim namyśle.

Do późnej godziny w nocy Filip pisał swój raport. Wysłano go w pościg za bandą złodziei-Indian. Obecnie zawiadomił inspektora Fitzgeralda, komendanta dywizji w forcie Churchill, o tym, czego dowiedział się od Piotra Breault, a czemu należało jednak dać wiarę.

Bram Johnson, potrójny morderca, żyje! Więc on pójdzie w pościg za nim. Prosi komendanta, by na jego miejsce wysłano kogoś innego celem schwytania owej bandy złodziejskiej. Wreszcie podał z możliwą dokładnością, w którym kierunku zamierza wyruszyć w pościg za Bramem.

Skończywszy pisać raport, zapieczętował go. Raport był obszerny i wyczerpujący. Brakowało w nim jednej tylko rzeczy. Filip Brant nie wspomniał ani słówkiem o owych sidłach i złocistych włosach kobiecych.

ROZDZIAŁ IV. W DROGĘ!...

Nazajutrz rano, choć szalała jeszcze zawierucha śnieżna, Filip Brant, pod przewodnictwem Piotra Breaulta, puścił się w drogę. Piotr doprowadził go do miejsca, w którym przed zaledwie trzema dniami nocował Bram Johnson w towarzystwie swych wilków. Przez te trzy dni wichry nawiały tyle śniegu z pustynnego Barrenu, że ów świerk, pod którym wówczas

Bram nocował, zasypany był prawie do połowy wysokości zwałami twardego śniegu.

Piotr Breault określił jak najdokładniej kierunek, w którym najprawdopodobniej następnego ranka wyruszył Bram. Brant wydobył busolę i ustawił jej strzałkę w odpowiedni sposób tak, aby mógł się w każdej chwili dokładnie zorientować, gdzie jest. W ten sposób doszedł do jednego, zupełnie pewnego wniosku.

— Bram — rzekł do Piotra — ukrywa się gdzieś na granicy Barrenu, wśród lasów i zarośli. W tym też kierunku pójdę. Możesz jeszcze dodatkowo, uzupełniając mój raport, powiedzieć Mac Veghowi i to. Ale pamiętaj: o siłkach ani słowa! Tak będzie lepiej, sam to rozumiesz. Jeżeli bowiem Bram jest rzeczywiście wilkołakiem i przedzie złote włosy na wietrze...

— Nic nie powiem, proszę pana — zapewnił Piotr drżącym głosem.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie i rozstali się w milczeniu. Filip obrócił się twarzą na zachód i wkrótce stracił z oczu Piotra Breaulta.

Nie upłynęła jeszcze godzina, a już Filip Brant zaczął sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństwa tej karkołomnej wyprawy, na którą sam dobrowolnie się porwał. Sanki swoje i zaprzęg psów zostawił u Piotra Breaulta, uważając, że tak będzie lepiej. Cały jego bagaż, umocowany wygodnie na plecach, nie ważył więcej niż czterdzieści funtów⁹. Mieścił się tam zwinięty namiot z najlepszego jedwabiu, ważący trzy funty i mogący oprzeć się skutecznie najgwałtowniejszym wichrom. Dalej niezbędne przybory kuchenne, o tej samej wadze, piętnaście funtów mąki i cały magazyn artykułów spożywczych w formie tabletek lub sproszkowanych pożywnych ekstraktów, a więc: jajka, kartofle, kawa itp. Zapas tej żywności, doliczając do tego zwierzynę, jaką po drodze może upolować, powinien mu wystarczyć na miesiąc. Uzbrojenie jego składało się ze strzelby i służbowego rewolweru-colta z odpowiednim zapasem amunicji.

⁹*funt* (ang. *pound, pound-mass*) — tu: jednostka masy, dziś ok. 0,45 kg, w XIX w. mniej, m.in. 0,37 kg. [przypis edytorski]

Licząc w myśli owe zapasy tak cennej żywności ukryte w worku na plecach, roześmiał się trochę drwiąco. Oto przyszła mu równocześnie do głowy inna myśl — wspomnienie z lat dawnych. Co też powiedzieliby jego dawni przyjaciele, gdyby tak jakimś cudem znaleźli się w tej chwili tu, obok niego. A przede wszystkim, co powiedziałyby i co zrobiłyby Mignan Davenport? Wyobraża sobie, z jakim obrzydzeniem i zgrozą skrzywiłyby swą arystokratyczną buzię! Ten wicher, co hula swobodnie po Barrenie, zmroziłby błękitną krew w jej żyłach. Nie wytrzymałyby tego! Wiedział o tym, bo znał ją przecież doskonale... Był czas, kiedy mówiono o ich małżeństwie.

To ciekawe jednak, że w tej chwili, gdy idzie w tropy owego tajemniczego Brama, może jeszcze myśleć o niej. Trudno, niepodobna odpuścić obrazu tej natrętnej myśli. A mógłby się założyć, że Mignon zapomniała już zupełnie o nim, tak samo jak jego dawni przyjaciele. Miłość i przyjaźń nie trwała długo. Mignon pierwsza

postarała się mu to udowodnić. Skrzywił twarz w grymasie i zaczął się śmiać wesoło.

Jak to się jednak dziwnie wszystko składa na tym świecie! Jakie bajeczne kawały trafiają się w życiu! Pamięta doskonale: kiedyś przeziębził się — przyszło zapalenie płuc. Z każdym dniem chudł i mizerniał coraz bardziej, policzki zapadły mu się na wybladłej twarzy. Jednym słowem: galopujące suchoty, czy coś w tym guście. A w dużych błękitnych oczach Mignon malowało się przerażenie, rosnące z każdym dniem. Aż wreszcie pewnego dnia przyszła do niego, oświadczając mu z naiwną otwartością, że byłoby jej strasznie nieprzyjemnie przyznać się przed znajomymi, że zaręczona jest z suchotnikiem.

Filip na to wspomnienie wybuchnął śmiechem tak hałaśliwym i szczerym, że Bram mógłby go posłyszeć z odległości nawet stu jardów. On — suchotnikiem! Rozkrzyżował szeroko potężne ramiona, aż stawy zatrzeszczały, i wciągnął głęboko w płuca rześkie, mroźne powietrze. Czuł się mocny i zdrowy jak rydz. Wy-

zdrowiał tutaj, wśród tych olbrzymich borów, śniegów i lodów. Kochał całym sercem te północne strony, które mu wróciły zdrowie. Kochał je i dlatego przed dwoma laty wstąpił w służbę królewskiej policji, ogarnięty żądzą przygód i awantur. Kiedyś wróci może na jakiś czas tam na południe, do swych znajomych.

Ależ zrobią wielkie oczy na jego widok! A Mignon, ta chyba umrze ze zgryzoty, kiedy zobaczy go w tak znakomitym zdrowiu!

Potem myśli jego wróciły znów do owego zagadkowego Brama. W ciągu dwóch lat swej służby zebrał stopniowo szereg informacji o tym dziwnym, a niebezpiecznym człowieku.

Indianie i Metysi uważali Brama za jakiegoś potwora, za potężnego czarownika, pozostającego w porozumieniu z diabłami. W oczach policji natomiast uchodził on za mordercę i jednego z najniebezpieczniejszych zbrodniarzy w całym Northland, którego należało jak najszybciej złapać i unieszkodliwić. Toteż ten szczęśliwiec, któremu udałoby się Brama oddać w ręce władzy, żywego czy umarłego, mógłby być

z góry pewnym awansu na sierżanta. Niejeden próbował już szczęścia, podniecony ambicją i nadzieją awansu, aż ostatecznie wszyscy doszli do przekonania, że Bram już nie żyje.

Filip Brant nie dlatego jednak zapuszczał się teraz w to pustkowie zimnego Barrenu, że pragnął zdobyć rangę sierżanta. Nie. I tak już niedługo wygaśnie jego kontrakt, a potem wcale nie myśli zostać dłużej w służbie policyjnej. Inny był powód, inna siła wewnętrzna gnała go naprzód.

Od owej chwili, gdy ujął w rękę ową sieć ze złotych włosów, opanowało go dziwne wzruszenie — uczucie nieznane mu dotychczas, z którym nie zdradził się zupełnie przed Piotrem Breaultem. Nie był on w tej chwili zimnym służbistą, polującym na zbrodniarza, zawziętym na jego wolność lub życie. Prawda, zdawał sobie doskonale z tego sprawę, że obowiązkiem jego jest schwytać Brama i odprowadzić go skutego do głównej kwatery policji. I zdecydowany był wypełnić ten swój obowiązek, o ile... Owa złota sieć była tą niewiadomą, którą mu-

siał brać w rachubę w swych planach. Sprawa komplikowała się poważnie...

To prawda, były chwile, kiedy mówił sobie, że on sam dobrowolnie komplikował całą sprawę, może bez słusznej przyczyny. Przecież Bram mógł wejść w posiadanie tych włosów na tysiąc różnych sposobów. A może owe ni-by-sidla były tylko jakimś talizmanem, który Bram, z natury już zabobonny, nosił przy sobie od szeregu lat, talizmanem chroniącym go od chorób i czarów.

Ale Filip jakoś nie chciał w to uwierzyć. A kiedy w południe zatrzymał się, by rozpałić ogień, zagotować herbatę i odgrzać placek owsiany — wydobyl z portfela ów pęk złotych włosów i zaczął mu się bacznie przyglądać.

Nie, stanowczo nie! Włosy te musiały być niedawno dopiero obcięte, to nie ulega wątpliwości. Przecież takie były miękkie, jedwabiste, taki miały żywy połysk! Cieniutkie były, długie, wszystkie jednakowej długości.

Zjadł śniadanie i puścił się w dalszą drogę. Przez ostatnie trzy dni szalała taka śnieży-

ca, że zniknęły zupełnie wszelkie ślady po Bramie i jego wilkach. Mimo to jednak, Filip był najmocniej przekonany, że Bram nie wyszedł poza obręb wielkiego Barrenu północy, owego Barrenu, którego nie znajdziesz na żadnej mapie — oceanu śniegów, wśród których od tak dawna ukrywa się ten morderca. Olbrzymia pustynia śnieżna, szerokości pięciuset mil od wschodu, leżąca mniej więcej pod sześćdziesiątym stopniem szerokości, była dla Brama i jego podobnych tym mniej więcej, czym był ongiś Ocean Spokojny dla piratów. Straszliwe te pustkowia (Filip wzdrygał się już na samą myśl o nich) gorsze były nawet, niż okolice Bieguna Północnego, gdzie przynajmniej ma się Eskimosów za towarzyszy. To, na co się porwał, było niesłychanym zuchwalstwem. Liczył tylko, że utrzyma się przez dłuższy czas ładna pogoda i że uda mu się wkrótce odnaleźć świeże tropy Brama i jego wilków.

Zdecydowany był też nie zapuszczać się poza strefę drzew i zarośli, gdzie z pewnością Bram urządził sobie legowisko, do którego prędzej

czy później zechce powrócić. Ale jeżeli Bram poszedł prosto przed siebie, w śnieżną pustynię Barrenu, mogą upłynąć całe długie tygodnie, zanim stamtąd zechce powrócić.

Śnieżyca, szalejąca już od kilku dni, ucichła w ciągu nocy. Przez cały tydzień pogoda była prześliczna. Mróz wprawdzie był silny, ale śnieg już nie padał.

W ciągu tego tygodnia Filip zrobił sto dwadzieścia mil w kierunku zachodnim. Ósmej nocy, kiedy siedział przy ognisku, bawiąc się znów rozplataniem złotej sieci, nastąpiło nareszcie owo upragnione spotkanie.

ROZDZIAŁ V. SPOTKANIE Z BRAMMEM

Noc była tak jasna, że czarne cienie wielkich świerków, rysujące się na śniegu, wydawały się jak żywe. Sklepienie niebios czyściutkie, niby lazur morza, usiane było miliardami gwiazd. Można się było obejść bez światła księżyca. Na

odległość trzystu jardów Filip mógł dostrzec wyraźnie idącego karibu.

Siedział, grzejąc się przy ogniu, i głaskał sieci z jedwabistych włosów. Uszu jego docho-
dziła owa „muzyka niebios”, cicha, fantastycz-
na harmonia dziwnych dźwięków i tonów, roz-
legająca się w tych stronach przed świtem. To
jakiś przenikliwy gwizd, to znów łagodne po-
mruki, przypominające mruczenie kota, to znów
dziwne, niemal metaliczne dźwięki, podobne
do brzęczenia pszczoł.

Filip splótł z powrotem wszystkie oczka sie-
ci i schował ją starannie do woreczka. Nagle
wyprostował się i bacznie nasłuchiwał. Gdzieś
z oddali dobiegały inne dźwięki, nie mające nic
wspólnego z ową „muzyką niebios”. Zerwał się
na równe nogi i przemykając ostrożnie wśród
zarośli podsunął się na kilka jardów od ogni-
ska, niemal na sam skraj lasu.

Z dość znacznej odległości — jednej mi-
li, może dwóch, doleciało do jego uszu ponure
wycie wilków.

W ciągu dwóch lat swej służby w policji Filip niejednokrotnie już słyszał takie głosy. Nigdy jeszcze nie wywarły one na nim podobnie silnego wrażenia. Krew uderzyła mu gwałtownie do głowy. Błyskawicznie przypomniał sobie to wszystko, co mu mówił Piotr Breault. Tak jest! Nie ulega żadnej wątpliwości: to Bram poluje ze swą hordą wilków. Idą w tę stronę!

Wrócił czym prędzej do ogniska, rozgrzał nad nim zimną lufę swej strzelby, po czym zgasił ogień, zasypując płonące gałęzie śniegiem. Podszedł znów na sam kraj lasu, gdzie obrał sobie stanowisko u stóp najwyższego świerku, jaki znajdował się w pobliżu. W razie niebezpieczeństwa będzie mógł się wdrapać na drzewo.

Niebezpieczeństwo zbliżało się szybko. Cała horda wilków, wiedzona przez człowieka-zwierzę, gnała z ogromnym impetem prosto na niego. Wilki były już w odległości trzystu kroków, kiedy Brant zdecydował się wejść na drzewo. Wspinał się, dysząc ciężko, a serce biło

mu niby młot. Świerk, wysoki na jakieś dwa-
naście stóp, nie był grubszy od ramienia męż-
czyzny, był schronieniem niezbyt bezpiecznym.
Przypomniało mu się, jak to kiedyś wypadło
ukryć paręset funtów mięsa wśród gałęzi du-
żych cedrów, o pniach grubszych od jego uda.
A w ciągu nocy stada wilków przegryzły pień
każdego drzewa.

Usadowiwszy się możliwie wysoko na drze-
wie, Filip powiódł wzrokiem po śnieżnej bieli
Barrenu, oświetlonej blaskiem gwiazd.

Wycie wilków ucichło, najlepszy znak, że
polowanie dobiegło już końca. Słyszać było tyl-
ko pospieszny stukot kopyt karibu na twardej
skorupie śniegu. Filip dojrzał też czarną syl-
wetkę zwierza, uciekającego w galopie przed
ścigającą go hordą, która niemal już podcinała
mu nogi. Wilki, w liczbie około dwudziestu,
rozwinęte w długie półkole, starały się odciąć
drogę ucieczki biednemu karibu, który pędził
wzdłuż skraju lasu, na próżno próbując dostać
się w głąb zarośli. Szare cielska wilków, mignę-

ły tylko przed oczami Filipa i wkrótce wszystko zniknęło mu z oczu.

Filip zsunął się z drzewa i przyczaił w zaspach śniegu. Według jego obliczeń karibu zdoła ubiec jeszcze milę, zanim dostanie się pod kły i pazury goniących go dzikich bestii. Ukryty w cieniu drzewa czekał więc cierpliwie, z wyjątkową uwagą, jednocześnie pewny, że Bram wkrótce będzie wracać tą samą drogą.

I rzeczywiście, w kilkanaście minut później, usłyszał typowy, charakterystyczny szelest sunących po śniegu nart. Filip poczuł, jak krew napływa mu gwałtownie do głowy. Oto za parę minut ujrzy owego poszukiwanego zbrodniarza. Ułożył już sobie wcześniej cały plan działania. Okoliczności składały się dla Filipa nadspodziewanie pomyślnie. Gdyby Bram znajdował się w otoczeniu swych wilków, które w każdej chwili na znak swego pana gotowe były rzucić się na wroga, schwytanie Brama przedstawiałoby ogromne trudności. Ale w tej chwili wilki zajęte były upolowaną zdobyczą; Bram

przechodzić będzie więc sam, nietrudno będzie go złapać.

Filip przystanął tuż za świerkiem, strzelbę postawił obok. W prawą rękę chwycił swój rewolwer służbowy. Z wyteżonym wzrokiem czekał na zjawienie się Brama, który lada chwila powinien wracać tą samą drogą.

Ale w pustkowiach Barrenu nie można polegać ani na wzroku, ani na słuchu. Podczas gdy Filip szukał go wzrokiem po rozległej śnieżnej pustce, Bram zjawił się nagle, jakby spod ziemi, w odległości niespełna dwudziestu kroków od niego.

Filipa przeraził ten widok niespodziewany, tak bardzo, że ledwo powstrzymał okrzyk zdumienia.

W tej właśnie chwili Bram przystanął, wciągając pełną piersią powietrze i dysząc ciężko. Nadstawił uważnie głowę w kierunku, gdzie jego wilki wciąż ucztowały.

Bram był naprawdę olbrzymiego wzrostu; być może w półmroku nocy wydawał się jeszcze wyższy. Długie, zwichrzone kudły opada-

ły mu na ramiona, brodę miał gęstą, krótką, a oczy lśniły w ciemnościach, zupełnie jak oczy kota. Wyraz twarzy na poły ludzki, na poły bydlęcy — jakiegoś stworzenia, co czuje, że na niego polują tak samo, jak ono poluje na inne zwierzęta. Na zawsze wryły się w pamięć Filipa rysy tej twarzy, twarzy jakiegoś szalonego strażnika, wyrzuconego poza margines ludzkości.

Nadeszła chwila ostateczna. Filip zacisnął mocno dłoń, w której trzymał kolbę rewolweru, i postąpił o parę kroków do przodu, wyrzając się z cienia.

Bram mógłby go już spostrzec, gdyby nie to, że właśnie odrzucił w tył swą ogromną głowę, uwalniając jednocześnie z piersi potężny, dziki okrzyk. Przypominało to jakiś przeciągły grzmot, przechodzący stopniowo w przerażające wycie, które z pewnością słychać było w odległości paru mil. Podobnego wycia Filip nie słyszał nigdy w życiu. Był to widocznie sygnał, za pomocą którego Bram, człowiek-zwierzę, zwoływał swych braci-wilków.

Nagle sygnał urwał się. Może jakiś instynkt ostrzegł Brama, że grozi mu niebezpieczeństwo. Zanim Filip zdążył zdecydować się na jakieś wystąpienie, Bram już niknął mu z oczu, sunąc po śniegu na swych nartach z nieopisaną szybkością. Równocześnie do uszu Filipa dobiegł jakiś niesamowity, szalony śmiech, ten sam śmiech, o którym z drzeniem opowiadał mu niedawno Piotr Breault.

Nie ruszając się z miejsca, Filip zaczął wołać głośno:

— Bram! Bram Johnson! Stój! Stój! W imieniu Jego Królewskiej Mości!

Bram usłyszał wołanie, nie przystanął jednak, tylko przyspieszył jeszcze bieg. Filip krzyknął ponownie:

— Bram, Bram Johnson!

A cała odpowiedź jaką usłyszał, to był grubiański szydrczy śmiech.

Filip podniósł ramię, nie celując zbyt uważnie, wystrzelił dwukrotnie w kierunku uciekającego. Kule przeleciały ze świstem koło samej głowy Brama.

— Bram! Bram Johnson! — krzyknął Filip po raz trzeci.

I tym razem wołanie nie odniosło żadnego skutku. Opuścił ramię, ścigając wzrokiem olbrzymią czarną sylwetkę uciekającego, która wkrótce rozplynęła się w mrokach nocy.

I znowu Filip został sam wśród śnieżnego pustkowia. Teraz dopiero uprzytomnił sobie całą dziecinność swego zachowania. Wołał na Brama tak drżącym głosem, że tylko na śmiech się naraził. Z pewnością też Bram, spostrzegłszy, że ma do czynienia z niezdecydowanym, bojaźliwym przeciwnikiem, najpewniej wróci tu ze swymi wilkami.

Niespokojnie i lękliwie wpatrywał się w śnieżną przestrzeń, gdzie Bram zniknął mu z oczu. Wracając do zarośli, wśród których rozbił swój namiot, wspominał żałosny los kaprała Lee i jego towarzyszy. Czyżby i jego czekało coś podobnego?

Rozważał w myśli wszystkie możliwe szanse, bo Filip był jednak dzielnym człowiekiem i nigdy nie poddawał się rozpacz. Zasiadł przy

dogasającym i słabo już dymiącym ognisku, starając się uporządkować swe myśli i odzyskać zupełną równowagę umysłu.

Bram nie wydawał mu się strasznym. Bez wahania i bez trwogi podjąłby z nim walkę. Kurczowo zacisnął dłoń na kolbie rewolweru. Ale walka czeka go nie tylko z Bramem, lecz i z jego hordą wilków. Bram zapewne sam nie pokaże się mu na oczy; poszczuje na niego swe wilki, a sam śmiać się tylko będzie szyderczo. Tak samo było z kapralem Lee. Teraz, kiedy Filip go już odszukał i zdradził się przed nim ze swymi zamiarami, Bram z pewnością starać się będzie unieszkodliwić natychmiast swego prześladowcę, aby ratować własne życie.

Nagle przyszła mu pewna myśl do głowy. Bram przecież — tak jak go widział w mroku wieczorem — nie miał żadnej broni. Ta myśl napełniła go otuchą. Wdrapie się na drzewo, i wówczas będzie mógł stoczyć zwycięską walkę z całą hordą wilków. Wystrzela je wszystkie po kolei. Mając strzelbę, rewolwer i odpowiedni zapas amunicji, da sobie z nimi radę. Tylko

trzeba mieć pewność, że rzeczywiście Bram nie posiada strzelby, bo w tym wypadku...

Podniósł porzucony poprzednio kozuch i okrył się nim. Do kieszeni schował naboje, tyle tylko ile się zmieściło. Następnie podszedł na skraj lasu; tam wybrał sobie gruby, sękaty świerk, rosnący na osobności.

Świerk ten nadawał się znakomicie na punkt obserwacyjny. Będzie mógł wystrzelać całą horde. Ale, jeżeli Bram posiada strzelbę, wtedy świerk ten będzie dla niego znakomitym celem do strzału.

Bądź co bądź, należało się zdecydować. A Filip nie miał innego wyboru.

ROZDZIAŁ VI. „ZŁAPAŁ KOZAK TATARZYNA...”

Filip czekał. W pewnej chwili spojrzał na zegarek: dochodziła północ, a więc czeka już dobrą godzinę. Najłżejszy nawet szmer, dochodzący czy to od Barrenu, czy z pobliskich zarośli, przejmował go nieopisanym lękiem. Prze-

konany był święcie, że Bram zjawi się ze swoją hordą niespodziewanie, wyrośnie jak spod ziemi, że nie posłyszysz ani stąpania Brama, ani też ostrożnych kroków skradających się ku niemu wilków.

Dwukrotnie załopotał mu nad głową wielki puchacz śniegowy, a za trzecim razem puchacz ów rzucił się na przemykającego wśród zarośli zająca. Za każdym razem Filip pewny był, że nadchodzi już moment decydujący. Potem znów doleciał go pisk małych białych lisów, kręcących się tu i tam, ciekawych na wszystko, jak małe dzieci. Ilekroć posłyszał te piski, targany lękiem wdrapywał się coraz wyżej na drzewo. Wreszcie przyszła reakcja i pewne odprężenie nerwowe — tętno zaczęło mu bić spokojniej i regularniej.

Może jednak uniknie tego nieszczęścia, które sam sobie ściągnął na głowę? Może Bram przeląkł się strzałów do tego stopnia, iż nie ma odwagi pokazać się znowu. Teraz Bram nie wydawał mu się już takim strasznym potworem, jak to było w pierwszej chwili. Na jego wy-

niszczonej twarzy wycisnęła swe piętno rozpacz obłądca. Filip zaczął odczuwać pewną sympatię do tego nieszczęśliwego potwora.

Niewątpliwie Bram, który od lat nie żył dla świata i ludzi, popaść musiał w pewnego rodzaju obłąd pod wpływem tej okropnej samotności. Już i wilki Brama nie wydawały mu się teraz takie straszne, a polowanie na człowieka jakby straciło dla Filipa cały urok.

Przypomniawszy sobie znowu ową sieć ze złotych włosów. Nie, stanowczo nie! Te jedwabiste, połyskujące włosy; które miał starannie schowane w kieszeni, nie mogły pochodzić z jakiejś dawnej transakcji zamiennej. Włosy te ścięte zostały niedawno z głowy kobiety. W takim razie Bram nie był więc samotny. Miał jakąś kobietę. I to kobietę z takimi włosami!

Filip zsunął się z drzewa na ziemię.

Przez całą godzinę spacerował wzdłuż skrajów lasu. Potem rozpałił na nowo ognisko, bacznie wsłuchując się w każdy najdrobniejszy nawet szelest. Mróz chwycił coraz ostrzejszy. Cichła z wolna owa „muzyka niebios”, przecho-

dząc w nieokreślony, coraz słabszy szmer. Gwiazdy bledły kolejno — rzekłbyś, cofały się gdzieś w głąb niebios, w zaświaty, coraz dalej od naszej ziemi.

To stopniowe znikanie gwiazd, które Filip obserwował zawsze z równym zainteresowaniem, jest jednym z najosobliwszych fenomenów w tych podbiegunowych okolicach. Wydaje się, jak gdyby setki tysięcy rąk niewidzialnych przesuwano się po sklepieniu niebieskim, gasząc je po kolei — najpierw najślabiej świecące, potem jaśniejsze i większe. Aż wreszcie ciemność zapadła zupełna, dopiero w jakieś pół godziny później ponad tą przepastną ciemnością wstawała zorza północna.

Kiedy ziemię zaległy nieprzeniknione ciemności, Filip poczuł, że lęk znów go ogarnia. Może właśnie Bram czekał, aby go napaść zniecka? Przy blasku ogniska spojrzął na zegarek: była godzina czwarta rano. Zagasił ognisko i wdrapał się z powrotem na drzewo. Bram się nie zjawiał.

Wreszcie wstała szara jutrzienka.

Filip zszedł znowu z drzewa i już po raz trzeci rozniecił ogień, aby sobie przyrządzić śniadanie. Zagotował podwójną porcję kawy. O siódmej rano był już gotów do dalszej drogi, zdecydowany ścigać dalej owego zagadkowego człowieka. Nie ma co mówić: Bram stracił tej nocy znakomitą sposobność, by pozbyć się raz na zawsze swego prześladowcy. A co więcej, uciekając, sam wskazywał mu drogę wiodącą do odkrycia tajemnicy owych złotych włosów. Wszystko zatem składało się po myśli ścigającego.

Filip ruszył w drogę, posuwając się wzdłuż brzegu lasu. Po jakichś trzydziestu minutach marszu doszedł do miejsca, gdzie w nocy rozegrała się ostatnia walka wilków z karibu. Ścigane zwierzę upadło w odległości pięćdziesięciu jardów od zarośli. W promieniu dwudziestu stóp śnieg był zupełnie wydeptany kopytami karibu i łapami wilków. Czerwone plamy krwi dookoła; po śniegu wałały się obgryzione kości i płaty skóry — jedyne resztki pozostałe po wspaniałym zwierzu.

Można było jeszcze dojrzeć miejsce, w którym Bram odpiął swe narty i położył je na śniegu. Odciski jego butów mieszały się ze śladami wilczych łap. Bram przyszedł widocznie jeszcze na czas, by uratować dla siebie najlepszy kąsek — udo karibu. I tylko gwiazdy spoglądały z góry na tę biesiadę wygłodniałej hordy, co pożarła niemal wszystko oprócz wnętrzości. Spoglądały też na Brama, który na miejscu musiał nasycić swój głód, pozostawiając tylko odpadki. Na białej karcie śniegu można to było wszystko wyczytać z całą dokładnością, jak z książki. I teraz dopiero Filip uświadomił sobie w całej pełni, jakiego okropnego niebezpieczeństwa udało mu się uniknąć.

Ale na białej karcie śniegu wyczytał jeszcze coś więcej. Oto Bram miał ze sobą sanki, na które załadował pozostałą resztę karibu. Oglądając ślady na śniegu, Filip mógł stwierdzić, że sanki były typu „votapanask”, znacznie jednak dłuższe i szersze. Reszty można się było domyśleć z łatwością. Kiedy cała horda już najadła się do syta, Bram zaprzągnął wilki do sanek i puścił

się w dalszą drogę, prosto na północ, poprzez pustkowiec Barrenu. Trzeba było tylko iść za jego śladem.

Filip nazbierał suchych gałęzi. Rozpalił duży ogień i przyrzędził sobie zapas żywności wystarczający na sześć dni. Postanowił przez trzy dni iść za śladem Brama poprzez te straszne pustkowiec Barrenu, nie zbadane dotychczas przez nikogo. Iść jeszcze dalej, nie mając sanek, byłoby prostym szaleństwem. Zatem przez trzy dni będzie go ścigał; trzy dni pozostanie mu na powrót. Ale nawet i taka krótka ekspedycja była niesłychanie ryzykowna. Było to po prostu igranie ze śmiercią, bo nad głową Filipa wisiała najstraszniejsza ze wszystkich gróźb — groźba burzy śnieżnej.

W chwili, kiedy wyruszył w drogę, wytyczając dokładnie kierunek za pomocą busoli, poczuł pewien lęk. Dzień był szary i ponury. Jak daleko okiem sięgnąć — jedna płaszczyzna śnieżna, sięgająca aż po krańce horyzontu.

Już po godzinie marszu Filip znalazł się wśród absolutnej pustki i milczenia. Zniknęły ciemne

zarysy owego lasku, z którego wyruszył w drogę. Sklepienie niebios ciążyło nad nim, niby ciężkie wieko ołowianej trumny. Niejeden dostawał nagłego obłądu, nie mogąc znieść długo tego przytłaczającego szarego całunu niebios.

I jemu już ta samotność dawała się coraz bardziej we znaki. Z całym wysiłkiem woli posuwał się wciąż naprzód, jakkolwiek coś go ciągnęło wstecz, jakkolwiek miał coraz większą ochotę zawrócić z tej drogi. Nigdzie ani jednego drzewa, ani krzaczka nawet. Pustka zupełna i tylko po niebie nisko przewalały się szare chmury, ciągnące z północy i ze wschodu. A sklepienie niebios wydawało się tak nisko zawieszone, że wystarczyło — zda się — rzucić kamieniem, by je dosięgnąć.

Za pomocą busoli, w ciągu dwóch godzin sprawdzał aż sześć razy kierunek swej drogi, wiodącej śladami pozostawionymi przez Bra-
ma. Ślady te prowadziły prosto na północ, bez najmniejszego schodzenia w bok. A przecież

Bram mógł się tylko orientować własnym instynktem. I mimo to nie zboczył. Ani na metr.

Po upływie dalszej godziny Filip skonstatował, że Bram musiał zatrzymać się na pewien czas z sankami, nie wyprzęgając jednak wilków. Po prostu zszedł tylko z sanek, nałożył narty i biegł piechotą za sankami. Wnioskując ze śladów pozostawionych przez narty, doszedł do przekonania, że Bram pędził, robiąc olbrzymie susy, także z łatwością mógł przebyć sześć mil w tym samym czasie, w jakim on sam za ledwie zdąży zrobić cztery.

Była godzina pierwsza w południe, kiedy Filip zatrzymał się celem zjedzenia obiadu. Według jego obliczeń uszedł piętnaście mil. Kiedy zabrał się do jedzenia, opadły go ponure myśli. Skoro Bram zabrał ze sobą na drogę spory zapas mięsa, to widocznie z tą myślą, aby nie zabrakło pożywienia dla niego i dla hordy wilków w ciągu tej długiej podróży wśród rozległych pustkowi Barrenu. Bram, sunąc szybko na saniach, zdoła w ciągu trzech dni przebyć około stu pięćdziesięciu mil. Tymczasem on w tym

samym czasie nie potrafi zrobić więcej, aniżeli trzecią część tej drogi.

Aż do godziny trzeciej po południu szedł bez zatrzymania się śladami Brama. Maszerowałby jeszcze dłużej, gdyby nie to, że zaczął padać gęsty śnieg, uniemożliwiający posuwanie się naprzód. Widząc, że zawierucha śnieżna nie ustaje, postanowił zbudować sobie schronienie, w którym mógłby spędzić noc.

Wiedział, biorąc przykład z Eskimosów, jak się do tego zabrać. Wyszukał duży zwal twardego zmarzniętego śniegu i zaczął w tym zwale, od strony osłoniętej od wiatru, za pomocą małej siekierki, jaką miał za pasem, wybijać wąski tunel. Łopatę zastąpiły mu narty, którymi wyrzucał z tunelu wyrąbany śnieg. Kiedy tunel ów, szeroki na dwie stopy, był już dość długi, by mógł się wcisnąć do wnętrza, zaczął wewnątrz wyrąbywać ściany, żeby stworzyć sobie rodzaj małego pokoiku, na tyle obszerne-
go, aby móc w nim rozstawić swe polowe łóżko. Pracował niemal przez godzinę. Z prawdziwym zadowoleniem i radością spojrzął po

ukończeniu pracy na ten swój „dom”, do którego nie mógł dotrzeć ani mróz, ani zawieja śnieżna.

Miał przy sobie mały zapas suchego drzewa na podpałkę, łatwopalnego, bo sporządzonego z gałązek świerkowych. Miał też długi kij, na końcu którego powiesił swój czajnik napełniony śniegiem. Pełen otuchy rozpalił ogień, poświęcając przy tym wesoło. Tymczasem zapadł szybko zmrok zupełny, niby czarna nieprzenikliwa zasłona. Ani jednej gwiazdki na niebie. W odległości dwudziestu kroków nie można było nic odróżnić, nawet śniegu.

Kiedy zjadł kawał wędzonki z plackiem owsianym, wypił gorącą herbatę i zapalił fajeczkę, wydobył z kieszeni ową złocistą siatkę. Przy gasnącym już ognisku wpatrywał się w te włosy, lśniące niby drogocenny metal. Schował je, kiedy dogasały ostatnie iskierki.

Otoczyły go nieprzeniknione ciemności. Po omacku zakrył wejście do tunelu płótnem swego służbowego przenośnego namiotu. Potem wyciągnął się wygodnie na składanym łóżku.

Od chwili, gdy rozstał się z Piotrem Breault, nie czuł się tak wygodnie. Ubiegłej nocy przecież w ogóle nie spał. Jakże mu było dobrze w tym łóżku! Toteż wkrótce zapadł w głęboki sen.

Płynęły długie nocne godziny. Nie słyszał wycia wiatru, który o świcie zerwał się na nowo, nie słyszał innych odgłosów, które na próżno odbijały się o jego uszy, ale jakaś wewnętrzna, ukryta podświadomość kazała mu się zbudzić. Zaczął poruszać się niespokojnie na łóżku. Aż nagle otworzył szeroko oczy. Światło wpadało przez otwór tunelu, a przecież na noc zasłonił go płótnem.

Spojrzał uważnie w tym kierunku. Płótna nie było.

W otworze tunelu ukazała się ogromna głowa, pokryta zwichrzonymi kudłami... Oczy jego spotkały się z oczami Brama Johnsona.

ROZDZIAŁ VII. FILIP KAPITULUJE

W ciągu swej dwuletniej służby w policji Filip nauczył się nie dziwić niczemu.

Było to jednak dla niego niezwykłą i gwałtowną emocją, kiedy tak niespodziewanie zetknął się oko w oko z człowiekiem, którego ścigał.

Szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą. Pomyślał, że gdyby Bram przyszedł tu z postanowieniem zabicia go, mógłby zrobić to natychmiast, korzystając z okazji, że przeciwnik śpi. Zauważył też, że zniknęła jego strzelba, którą wieczorem podparł zasłonę płócienną w otworze tunelu. Widocznie Bram już ją porwał. Nie zdziwiło go to zbytnio.

Znacznie bardziej zdziwił go wyraz twarzy Brama. W tym wzroku, utkwionym w niego, Filip nie mógł dopatrzeć się radości i zadowolenia zwycięzcy na widok schwytanej ofiary. Nie było w nim również nienawiści, ani pod-

niecenia. Raczej jakaś niepewność i pewnego rodzaju niezdecydowane zakłopotanie.

Filip mógł obserwować dokładnie wszystkie charakterystyczne cechy jego twarzy: wystające kości policzkowe, niskie czoło, płaski nos, grube mięsiste wargi. Jedyńm upiększeniem tej potwornej twarzy były tylko oczy: duże, piękne, o szarym blasku przypominającym perły. Oczy te, umieszczone w innej twarzy, wywołałyby szczerą podziw, tak były piękne.

Upłynęła już długa chwila, a obaj mężczyźni nie zamienili ze sobą ani słowa. Filip sięgnął odruchowo po rewolwer, ale nie miał zamiaru robić użytku z broni: uważał, że lepiej i rozsądniej będzie pogadać trochę.

— Hello, Bram! — zakrzyknął.

— Bonjour, monsieur¹⁰ — odparł Bram, grubym, gardłowym głosem i niemal w tej samej chwili głowa jego zniknęła w otworze.

Filip czym prędzej zerwał się z łóżka polewego. Usłyszał dobiegający od wyjścia tunelu inny, groźny odgłos: ujadanie i wycie wilków.

¹⁰*Bonjour, monsieur* (fr.) — dzień dobry panu. [przypis edytorski]

Ciarki go przeszły, mimo całego zaufania, z jakim początkowo odnosił się do Brama. I czołgając się na czworakach po śniegu przez wąski tunel ku wyjściu, zadawał sobie pytanie, czy dobrze i rozsądnie postąpił, oszczędzając życie Brama. Nie lepiej byłoby, od razu za pierwszym spotkaniem, wpakować kulę w ciało tego zbrojaka? Jeżeli Bram poszczuje na niego wilki, toż to dopiero będzie i dla Brama i dla nich ładna zabawa! Zagryzą go, jak mysz w pułapce. Może uda się zastrzelić dwa lub trzy wilki, reszta rzuci się na niego i w mig się z nim załatwi. Już po raz drugi zrobił kapitalne głupstwo, które mści się teraz na nim.

Przed wyjściem z tunelu zatrzymał się. Przykucnął, trzymając rewolwer w ręku. Przez wąski otwór nie mógł dojrzeć nic więcej, prócz śniegu, na którym widniały odciski butów Brama. Słysząc było groźny pomruk wilków, będących gdzieś niedaleko.

W tej chwili usłyszał głos Brama:

— Monsieur! Rewolwer i nóż — albo cię zabiję. Wilki bardzo głodne.

Nie mógł dojrzeć postaci Brama, który widocznie stał z boku, poza polem jego widzenia. W tonie głosu nie wyczuwało się złości ani groźby, tylko zimną, bezwzględną stanowczość, nie znoszącą protestu ani oporu.

O walce myśleć nawet nie było można. Bram, mając do pomocy swoje dzikie bestie, był pewny zwycięstwa. Jeżeli nawet Filip miał jakieś wątpliwości, pozbył się ich szybko na widok trzech wilków, które nagle zjawiły się w odległości trzydziestu stóp od niego. Były to prawdziwe olbrzymy. Stały z utkwionymi w niego ślepiami, warcząc głucho i kłapiąc szczękami, ukazując przy tym lśniące, ogromne, białe zęby. Po chwili zjawił się i czwarty, a potem parami przybywały dalsze, aż wreszcie wszystkie dwadzieścia ustawiły się rzędem, na wprost niego.

Wilki wydawały się silnie podrażnione. Na widok tych dwudziestu groźnie kłapiących szczęk, tych dwudziestu par błyszczących ślepi, utkwionych w otwór kryjówki, Filip instynktownie cofnął się. Wiedział dobrze, że jeżeli wilki do-

tychczas stały w oddaleniu, nie rzucając się na niego, to tylko z uwagi na Brama. Choć nie słyszał, żeby Bram wydawał im jakikolwiek rozkaz.

W tej samej chwili mignął mu przed oczami jakiś długi wąż: nad stadem wilków przeleciał ze świstem batog Brama, długi na dwadzieścia stóp, sporządzony ze skóry karibu. Na ten sygnał wilki cofnęły się. Do uszu Filipa doleciał znowu stanowczy rozkaz Brama:

— Monsieur! Rewolwer, nóż!... Bo poszczuję wilki.

Jeszcze nie skończył mówić, a Filip odrzucił rewolwer na śnieg, daleko od siebie.

— Masz rewolwer, stary! Masz i nóż!

Nóż razem z futerałem upadł obok rewolweru.

— Czy mam wyrzucić również i moje łóżko? — spytał Filip, nadrabiając miną swój strach. Przypomniało mu się, że przecież poprzedniej nocy to on strzelał do Brama. A teraz Bram, być może, tylko czeka, aż Filip wyjdzie z kry-

jówki, aby mu palnąć w łeb? Przypuszczenie to nie było pozbawione pewnych podstaw.

Na swoje pytanie nie otrzymał odpowiedzi, co oczywiście nie mogło go zbytnio uspokoić. Powtórzył pytanie, ale znowu bez rezultatu.

Zabrał się więc do spakowania swego przenośnego łóżka. Śmiech go brał na myśl, jaki raport on o tym wszystkim zdałby przełożonym — o ile w ogóle napisze jeszcze kiedyś jakikolwiek raport. Miałby co opowiadać! Prawdziwa komedia. Zagrzebał się oto w śniegu ni-by niedźwiedź na sen zimowy; a rano przychodzi taki jegomość uzbrojony w batog, otoczony hordą dzikich żarłocznych bestii, i prosi go grzecznie, aby raczył wyjść.

W chwilę później wyrzucił na śnieg swoje składane łóżko. Bram schylił się, by je podnieść, biorąc równocześnie rewolwer i nóż w swoje posiadanie. Korzystając z tej sposobności Filip wysunął się pospiesznie ze swej kryjówki. I kiedy Bram się podniósł, Filip już stał przed nim.

— Dzień dobry, Bram! — odezwał się śmiało.

Odpowiedziało mu tylko dzikie wycie wilków. Starał się jednak nie dać poznać po sobie lęku ani wzruszenia, jakkolwiek nerwy naprężone miał do ostateczności. Z ust Brama wypadło jakieś ostre słowo w języku Eskimosów i nad pyskami wilków zaświstał znów długi harap.

Bram nie spuszczał z niego oczu, a w jego spojrzeniu błyskały złe ognie. Filip widział, jak Bram zacisnął mocno swe grube wargi, nos zrobił mu się jeszcze bardziej płaski, na ogromnej ręce, w której trzymał grubą pałkę, żyły nabrzmiały jak postronki. Bram gotów był teraz bić i mordować. Wystarczyło jedno nieopatrzne słowo, jeden niezręczny gest, a los Filipa byłby już przypieczętowany.

Grubym gardłowym głosem Bram rzucił pytanie w tym swoim żargonie, którym stale się posługiwał:

— Dlaczego wy wczoraj wieczór strzelać do mnie?

— Dlatego — odparł Filip, siląc się na spokój — ponieważ chciałem z tobą pomówić. Nie chciałem cię tropić. Umyślnie strzelałem ponad twą głową.

— Chciałeś pomówić? — powtórzył Bram, a znać było, że każde słowo kosztowało go wiele wysiłku. — Dlaczego pomówić?

— Chciałem się ciebie spytać, jak to się stało, że zabiłeś człowieka w okolicy Jeziora Boga?

Zaledwie to powiedział, a już pożałował swych słów. Z piersi Brama wyrwał się głuchy, niemal zwierzęcy pomruk. A w jego szarych oczach, które nagle dziwnie pociemniały, zapłonął groźny ogień.

— Ach, tego człowieka z policji? Tego, co przyszedł z portu Churchill i którego wilki zagryzły?

Odrzucił rewolwer i nóż. W rękach trzymał tylko batog i pałkę. Wilki podsunęły się bliżej do Filipa i otoczyły go z tyłu półkolem. Nie śmiał obrócić głowy, nie śmiał nawet spojrzeć na nie. To ich straszne milczenie nappełniało go

nieopisanym lękiem. Czekały tylko na rozkaz Brama, czyhały na jego znak. Czuły instynktownie, że ów rozkaz padnie lada moment, że zawisł już na grubych wargach ich pana. Chwila była decydująca i straszna po prostu.

Filip wydobył portfel z kieszeni.

— Bram! — odezwał się. — Zgubiłeś coś owej nocy, kiedy nocowałeś w pobliżu chaty Piotra Breault. — Mówił to głosem zmienionym, trochę drżącym i niepewnym. — Dlatego właśnie szedłem za tobą, aby ci to oddać. Mogłem cię zabić, powtarzam, wówczas, gdy strzelałem do ciebie. Ale chciałem tylko, abyś się zatrzymał, i abym ci mógł to oddać...

Mówiąc to, podał Bramowi siatkę ze złotych włosów.

ROZDZIAŁ VIII. U CELU PODRÓŻY

Przez kilkadziesiąt sekund Bram stał, jakby gromem rażony.

Spojrzenie swych oczu, utkwionych dotąd uporczywie w Filipa, skierował na siatkę ze złotych włosów. Usta otworzył szeroko ze zdumienia, rzekłbyś, przestał oddychać zupełnie. Pałka i batog wypadły mu z rąk.

Jak zahipnotyzowany zrobił wolniutko jeden krok, potem drugi, trzeci, aż znalazł się w pobliżu Filipa. Nie odzywając się ani słowem, ujął w ręce ową siatkę. A kiedy podniósł ją do góry, by lepiej przypatrzeć się połyskującym włosom, wyraz twarzy złagodniał mu nagle, a w oczach zgasły owe złowrogie światelka.

Ale trwał nadal w zagadkowym milczeniu, bawiąc się ową siatką, owijając ją na swe grube palce. Wreszcie zwinął ją i ukrył gdzieś głęboko pod ubraniem. Teraz dopiero przypomniał sobie o obecności Filipa. Z głuchym pomrukiem schylił się, podniósł z ziemi rewolwer i odrzucił go daleko w śnieg. Wilki popędziły natychmiast w tym samym kierunku. W ślad za rewolwerem poleciał też i nóż myśliwski. Kiedy przyszła kolej na strzelbę, Bram oparł ją sobie

o kolano i przełamał na pół, jakby łamał kawałek drzewa na podpałkę.

— Diabli wzięli! — zaklął po cichu Filip.

Owładnięty nagłym wybuchem gniewu, miał ochotę rzucić się na Brama, aby obronić swą własność. Ale jeżeli już poprzednio czuł się zupełnie bezsilnym, o ileż więcej był nim obecnie! Zresztą, natychmiast przyszła mu inna myśl do głowy. Jeżeli Bram niszczy jego broń, to widocznie postanowił darować mu życie, przynajmniej na razie. Postępując w ten sposób, miał na myśli tylko unieszkodliwienie swego wroga. Nie odezwał się ani słówkiem, wiedząc, że i tak dyskusja z Bramem do niczego nie doprowadzi. Bram spojrział na niego i palcem wskazał na narty, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że ma je sobie założyć. Wilki wróciły do nich i stały — czujne i uważne na każdy znak. Rozległ się trzask z batoga; Bram wyciągnął ramię ku północy, dając do zrozumienia Filipowi, że ma on iść naprzód. Cała karawana ruszyła w drogę: na przodzie Filip, za nim Bram, a za Bramem wilki. Z porządku tego pochodu wy-

miarkował Filip od razu, że Bram uprowadza go ze sobą jako więźnia, a nie jako przyjaciela. Ale czemu w takim razie darował mu życie? Trudno zgadnąć.

Po przejściu dwóch mil natknęli się na saniki Brama. Zostawił je tam umyślnie, by mieć większą swobodę ruchów, kiedy w nocy wybierał się ze swą hordą celem schwytania tajemniczego prześladowcy. Widocznie z góry pewien był, że po spotkaniu z Filipem, ten ostatni puści się za nim w pościg, za śladami pozostawionymi przez Brama. Filip w duchu podziwiał tę przenikliwość i spryt człowieka-wilka.

Obserwował go uważnie, kiedy Bram ustawiał wilki do zaprzęgu. Posłuszne mu były jak psy doskonale tresowane. Między Bramem a wilkami panował stosunek poufalej przyjaźni, niemal braterstwa. Przemawiał do nich wyłącznie w języku Eskimosów. Słowa miały dziwny dźwięk, przypominający szczęk kości uderzanych jedna o drugą: klak-klak-klak.

Kiedy sanki miały już ruszyć w dalszą drogę, Filip postanowił jeszcze raz przerwać milczenie i wyciągnąć od Brama parę informacji:

— Jeśli naprawdę sądzisz, że chciałem cię wczoraj zabić, czemuż w takim razie nie poszczułeś na mnie twych wilków, jak to już zrobiłeś nieraz z innymi? Dlaczego dopiero na drugi dzień przyszedłeś mnie złapać, w mojej kryjówce?... A potem... Powiedz, na Boga, dokąd my idziemy?

Bram wyciągnął rękę w przestrzeń śnieżnego Barrenu.

— Tam! — odpowiedział krótko, pomijając milczeniem wszystkie poprzednie pytania.

Rękę trzymał wyciągniętą na północ, najdokładniej na północ, niczym igielka w kompasie.

Potem, jakby przypominając sobie poprzednie pytania, wybuchnął nagle śmiechem. Kiedy śmiał się, twarz jego i tak już potwornie brzydka, przypominała owe okropne poczwarry, jakie spotyka się wyrzeźbione na gzymsach i kamiszach starych gotyckich katedr. Był to

śmiech tak niesłychanie denerwujący, że Filip miał ochotę chwycić Brama za kark i trząść nim tak długo, aż przestanie się śmiać, aż zdecyduje się mówić.

Ale przypomniał sobie znowu, że Bram to człowiek nienormalny, wyrzutek społeczeństwa, wyjęty spod prawa.

Wreszcie Bram przestał się śmiać; twarz przyoblekł w maskę niewzruszonego spokoju. Wymownym gestem kazał Filipowi zająć miejsce na saniach; on sam podszedł naprzód i stanął na czele zaprzęgu. Rozległ się świst bata, Bram przemówił do wilków parę słów w języku Eskimosów i cała karawana ruszyła w dalszą drogę.

Bram, z głową wtuloną w ramiona, sunął po śniegu na nartach w olbrzymich susach, za nim truchtem biegły wilki. W tym tempie powinni robić jakieś osiem mil na godzinę. Filip, siedząc na sankach, nie mógł oderwać oczu od szerokich, przygarbionych pleców Brama i od szarych grzbietów wilków. Ogarnęło go uczucie niewymownej litości i pożałowania dla tych

pariasów życiowych, dla tego biedaka, co popołu z dzikimi zwierzętami pędzi ciężki nad wyraz żywot, wśród pustki, milczenia i nicości.

Po jakimś czasie zwrócił spojrzenie na saniki; ciekaw był ogromnie, co się na nich mieści. Leżały tam zwinięte skóry niedźwiedzie. Widocznie Bram używał ich do okrywania się. Jedna ze skór miała zupełnie biały włos, pochodziła widocznie z niedźwiedzia polarnego. Opodal leżała ćwiartka mięsa karibu. A nieco dalej, pod ręką niemal, gruba pałka i strzelba. Strzelba ta była starego typu, odtylcówka, jednostrzałowa. Filip nie mógł się nadziwić, czemu Bram zdecydował się połamać jego własną strzelbę, nowszą, zamiast zatrzymać ją dla siebie, w miejsce tego antyku. Przyszło mu też na myśl, na jakie niebezpieczeństwo był wystawiony, kiedy wówczas, w nocy siedział na samotnym drzewie, przedstawiając doskonały cel, nawet dla takiej starej broni.

Gruba pałka, wyciosana z pniaka brzoźowego, długa była na trzy stopy. W tym miej-

scu, gdzie zwykle opierała się na niej ręka Brama, drzewo było wytarte, świecące i przesiąknięte tak tłuszczem, że miało barwę zupełnie czarną, jak heban. Przeciwny koniec, cały poszczerbiony, nosił wyraźne ślady potężnych uderzeń i plamy poczerniałej krwi. Na sankach nie było żadnych przyborów kuchennych ani innych wiktuałów, prócz mięsa z karibu. Tylko na samym tyle przyczepiona duża wiązka gałęzi świerkowych, spośród których sterczała rękojeść siekiery, z grubsza zaledwie ociosana.

Skóra z białego niedźwiedzia i strzelba przyciągały specjalnie uwagę Filipa. Strzelba! Wystarczyło przechylić się tylko trochę, by ją ująć w rękę. Wykluczone przecież, aby nie mógł trafić w szerokie plecy Brama, jakby nastawione umyślnie na strzał! Widocznie Bram zapomniał o tej pozostawionej strzelbie. A może... może pod opieką wilków czuł się dostatecznie bezpieczny?... A może... zaufał naprawdę Filipowi? To ostatnie przypuszczenie najsilniej jednak przemawiało mu do przekonania. Bo tak, prawdę mówiąc, nie miał najmniejszej ochoty

ty wyrządzić Bramowi krzywdy. Nie myślał również o ucieczce. Zapomniał o tym, że składał przysięgę, że jest sługą Sprawiedliwości, że obowiązkiem jego jest odstawić Brama, żywego czy umarłego, do Głównej Kwatery Policji. W jego oczach Bram nie był już zbrodniarzem, lecz człowiekiem naprawdę nieszczęśliwym. I tego polowania na niego nie traktował już jako sportu, lecz jak smutny obowiązek, który musi wypełnić.

Ciągnęło go też coś nieznanego, sensacyjnego. Przypomniały mu się owe złote włosy. I gdyby nawet zamierzał ulec pokusie, posłużyć się ową strzelbą, którą sama Opatrzność chyba mu zesała, myśl o tych włosach byłaby go powstrzymywała od wykonania tego zamiaru, bo przecież Bram i jego wilki wiodły go właśnie ku owym włosom, ku tajemnicy tej złotej sieci. Nie wątpił już w to ani trochę.

Jak długo trwać będzie ta jazda? Można było przyjąć, że Bram, kierując się w stronę Morza Polarnego, jechać będzie na wschód od Wielkiego Jeziora niewolników, wyminie Mie-

dzianą Rzekę, by skręcić wreszcie w stronę Zatok Koronacyjnej. Leżąca na sankach skóra z białego niedźwiedzia pochodziła ze zwierza niedawno ubitego, a te właśnie okolice obfitują w tego rodzaju zwierzynę. Do pierwszych kolonii Eskimosów było dobre pięćset mil; przestrzeń, którą Bram ze swymi wilkami może przebyć w ciągu ośmiu do dziesięciu dni.

Jeżeli przypuszczenie to było trafne, dużo rzeczy znalazłoby wtedy swoje wytłumaczenie. Owa młoda kobieta, właścicielka złotej kosi¹¹, mogła być żoną lub córką kapitana okrętu, który wyruszył w te strony na połów wielorybów. Okręt zapewne rozbił się wśród lodów, a załogę wyratowali Eskimosi. I ona obecnie, razem z innymi białymi ludźmi, znajduje się wśród Eskimosów. Lepiej było w każdym razie przyjąć to przypuszczenie, niż myśleć, że znajduje się ona w mocy Brama.

Całym wysiłkiem woli starał się wmówić w siebie, że tak było istotnie. Przecież to drugie przypuszczenie było po prostu potworne,

¹¹*kosa* (tu daw.) — warkocz; włosy kobiety. [przypis edytorski]

straszne! Kobieta z takimi włosami, podobnymi do nitek szczerego złota, w mocy tego olbrzyma, półwariata! Cóż za potworna para!

Puściwszy tak wodze swym myślom, Filip zaciskał z wściekłości pięści. Przychodziła mu szalona ochota zeskoczyć z sanek, rzucić się na Brama, powalić go na ziemię i przydusić kolanem, aż wydrze z niego całą prawdę. Ale nie! Należało właśnie hamować się i przez zręczną dyplomację dojść do upragnionego celu.

Z pomocą swej busoli Filip kontrolował przez godzinę kierunek ich jazdy. Jechali ciągle na północ. Potem Bram również zajął miejsce w saniach. Stał z tyłu, poza Filipem, poganiając energicznie wilki długim batogiem. Wilki popędziły galopem. W tym tempie powinni byli, wedle obliczeń Filipa, robić przeszło dziesięć mil na godzinę.

Podczas gdy sanki sunęły po śnieżnej równinie, Filip próbował kilkakrotnie nawiązać rozmowę, ale na próżno. Bram nic mu nie odpowiadał. Od czasu do czasu tylko krzyczał na wilki w narzeczu Eskimosów, trzaskał z biczem,

to znów wymachiwał ramionami, wybuchając owym niesamowitym śmiechem.

Minęły w ten sposób dalsze dwie godziny. Bram rzucił krótki rozkaz i sanie nagle stanęły. Następny był długi i rzucony tonem brutalnie energicznym, zaświstał groźnie batog, i wilki zdyszane przyległy brzuchami do śniegu.

Filip zeskoczył z sanek, Bram tymczasem nachylił się nad strzelbą. Klęcząc na sankach, wskazał na nią palcem, mówiąc równocześnie głosem najzupełniej spokojnym i normalnym:

— Pan nie ruszać tej strzelby?... Dlaczego pan nie strzelać do mnie, kiedy byłem tam na przodzie, razem z wilkami?

— Dla tego samego powodu, dla którego i ty mnie nie zabiłeś w czasie mego snu — odparł Filip. A chwytając Brama za ramię, mówił dalej gorączkowo:

— Czemuż, do licha, taki jesteś tajemniczy? Czemu nic nie mówisz? Przecież obecnie nie myślę cię wcale ścigać. Policja pewna jest, że już od dawna nie żyjesz, a ja nie mam zupełnie ochoty cię zdradzić. Czemuż nie pogadasz

ze mną po ludzku? Dokąd my idziemy? I dla-
czego do licha...

Nie skończył zdania. Bram odchylił w tył głowę, od ucha do ucha rozdziawił usta i począł się śmiać. Ale nie był to tym razem śmiech złośliwy, szaleńczy. Nie, Bram śmiał się naprawdę, zupełnie naturalnie, wesoło, zarażając i Filipa swą wesołością. Podniósł strzelbę i otworzył ją przed oczami Filipa. W strzelbie nie było ani jednego naboju.

Filip stał jak wryty. Zatem Bram rozmyślnie wystawił go na próbę, podsuwając mu pokusę pod rękę!

Było to sprytnie obmyślane. Podstęp, na jaki zdobyć się może tylko człowiek mający zupełnie zdrowy rozum. Ale oto już oczy Brama stawać zaczęły się mętne i błędne. Już opadło go szaleństwo, pogrążając w mrokach nocy jego umysł.

Bram odłożył na bok strzelbę, wydobył duży nóż i począł kroić nim na duże kawały mięso karibu. Widocznie uważał, że nadeszła pora wspólnego posiłku. Każdemu wilkowi rzucił

po kolei kawał mięsa. Dla siebie odciął również spory kawałek, który pożarł na surowo. Noż pozostawił utkwiony w mięsie, dając w ten sposób Filipowi do zrozumienia, że i on może sobie ukroić kawałek.

Filip usiadł obok Brama, otworzył swój worek i zaczął wydobywać z niego zapasy żywności. Rozkładał je między Bramem a sobą, aby Bram mógł wziąć to, na co mu przyjdzie ochota.

Bram przestał nagle ruszać szczękami. Kiedy Filip spojrział na niego, zadrżał z trwogi. Bram z oczami nabiegłymi krwią, wpatrywał się z napięciem w leżące przed nim wiktuały.

Wyciągnął rękę, chwycił kawałek placka owsianego. Już, już, otwierał usta, by go ugryźć, kiedy znienacka rzucił mięso i placek, i z dzikim rykiem skoczył na Filipa. Zanim w ogóle Filip zdążył pomyśleć o obronie, zanim zdołał zdać sobie sprawę z tego co zaszło, już leżał na ziemi, przytłoczony ciałem Brama, który chwycił go gwałtownie za gardło. Uderzył głową o twarde

śnieg tak gwałtownie, że na chwilę zupełnie go zamroczyło.

Kiedy wreszcie dźwignął się z ziemi, przygotowany na ponowny atak, Bram już nie zwracał na niego uwagi.

Mamrocząc coś niezrozumiale, przeglądał kolejno wszystkie zapasy żywności Filipa. Potem, ciągle coś mrużąc, przysunął sobie skóry niedźwiedzie, leżące na saniach, rozwinął je i wydobył ze środka szary, obdarty, postrzępiony worek. W worku tym, jak Filip zauważył, mieściło się kilka małych paczek, owiniętych ni to papierem, ni to korą brzożową. Jedną z paczek poznał po opakowaniu: było to pół funta herbaty, zupełnie takiej samej, jaką kompania Zatoki Hudsona sprzedaje lub wymienia za skóry we wszystkich swych faktoriach.

Teraz Bram chował do swojego worka wszystkie bez wyjąku wiktuały, aż do ostatniej okruszyny. Kiedy skończył, schował worek między skóry niedźwiedzie i ułożył je z powrotem na saniach. A potem, mrużąc coś, usiadł spokoj-

nie i zabrał się z powrotem do swej porcji surowego mięsa.

— Biedaczysko! — pomyślał Filip.

Nie gniewał się nawet zbytnio na Brama, jakkolwiek głowa go jeszcze bolała. W oczach tego potwora wyczytać można było głód i nieodparte pożądanie na widok tych zapasów żywności, smacznej, pożywnej, naprawdę godnej ludzi. A jednak nie tknął niczego. Wszystko starannie schował. Dlaczego? Jedno tylko nie ulegało wątpliwości, gdyby Filip miał zamiar odebrać mu swą własność, na pewno przypłaciłby to życiem.

Bram był pozornie zupełnie obojętny i spokojny, ale kiedy Filip odkroił sobie kawał mięsa karibu, zaczął go uważnie obserwować. Filip zanurzył zęby w surowym mięsie tak, by mu udowodnić, że nie czuje najmniejszego żalu, że mu to obrzydliwe jedzenie niesłychanie smakuje.

Nie zdążył się jeszcze załatwić z tym prymitywnym surowym rozbefem, kiedy Bram, skończywszy jedzenie, wstał i nie czekając dłu-

żej, ostrym krzykiem dał sygnał do dalszej drogi. Wilki zerwały się, a Filip zajął znów miejsce na saniach, tak że Bram był z tyłu.

I rozpoczęła się na nowo prawdziwie piekielna jazda, której Filip nie zapomniał do końca życia. Bram kierował zaprzęgiem, stojąc na saniach z tyłu; od czasu do czasu jednak zeskaکیwał na ziemię i biegł za saniami albo na czele zaprzęgu. Wilki pędziły jak wichry, nie zatrzymując się i nie odpoczywając w ogóle. Czasem tylko, gdy były zmęczone, zwalniały, ale Bram popędzał je naprzód ostrym krzykiem i świstem batoga. Powłoka śnieżna była tak twarda i zamarznęta, że narty stały się zupełnie bezużyteczne. Filip sześć razy zeskaکیwał z sanek i dla rozgrzania się biegł razem z Bramem i wilkami, aż do utraty tchu.

Po południu spojrzął na busolę i stwierdził, że posuwają się już nie na północ, lecz w kierunku zachodnim. Odtąd, co kwadrans, sprawdzał za pomocą busoli kierunek jazdy, który jednak nie uległ żadnej zmianie. Nietrudno mu było zauważyć, że Bram zaczął pędzić

w tym szalonym tempie dopiero od momentu, kiedy zabrał mu jego zapasy żywności. Widać miał on w tym względzie jakieś plany, czego domyśleć się było można zarówno z jego zachowania się, jak i nieustannego, niezrozumiałego mamrotania pod nosem przez całą drogę.

Zaczęło się już ściemniać, kiedy nareszcie zatrzymali się. Człowiek-wilk, zdawało się, że na chwilę odzyskuje pełnię rozumu. Wskazał Filipowi palcem na wiązkę drzewa, leżącą na sankach, mówiąc zupełnie naturalnym głosem: — Rozpalić ogień, monsieur!

Wilki, zupełnie wyczerpane, ułożyły się w zaprzęgu, opierając swe włochate łby na przednich łapach. Bram obszedł kolejno wszystkie, do każdego z osobna przemówił parę słów w swym narzeczu. Potem znów zapadł w zwykłe milczenie. Na kawałku drąga umocował prymitywny worek sporządzony ze skóry niedźwiedziej. Worek napęłnił śniegiem, wieszając go nad wiązką gałęzi. Filip zapalił zapałkę i wkrótce zabłyśło wesołe ognisko.

— Ile mil drogi zrobiliśmy? — spytał Filip.

— Pięćdziesiąt mil — odparł Bram bez namysłu.

— A ile jeszcze mamy przed sobą?

W odpowiedzi dało się słyszeć tylko głucho mruczenie. Bram stał, z tępych wyrazem twarzy, trzymając w ręku ów nóż, którym kroił mięso karibu. Utkwił oczy w Filipa.

— Ja zabić człowieka — mówił powoli — bo mi ukradł ten nóż i nazwać mnie kłamcą. Ja go zabić! Och tak!

I chwyciwszy w rękę grubą gałąź, złamał ją.

Zarechotał strasznym śmiechem, podszedł do sanek i odciął nożem kilka dużych kawałów mięsa dla siebie, Filipa i swych braci-wilków. Filip starał się wszelkimi sposobami wciągnąć go w rozmowę. Śmiał się, gwizdał, próbował nawet zanucić kilka wierszy z owej „Pieśni o Karibu” znanej w całym Northland, którą Bram z pewnością słyszał już niejednokrotnie. Przy-
piekając mięso nad ogniem, opowiadał mu o Bar-

renie, o całych stadach karibu, z którymi spotkał się na wschodzie. Zadawał Bramowi pytania, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej o jego życiu wśród pustkowia Barrenu, o wilkach i o tych stronach, zupełnie jemu nieznanych. Widać było, że Bram słuchał go z całą uwagą, ale nic nie mówił. Od czasu do czasu tylko z jego piersi wydobywał się głuchy pomruk.

Zjedli mięso; musieli jednak czekać dobrą godzinę, zanim śnieg znajdujący się w worku skórzanym roztopił się i zamienił w wodę. Napili się sami i napoili wilki.

Tymczasem zapadła noc. Przy blasku ogniska Bram wykopał sobie w śniegu dużą dziurę, zastępującą mu łóżko. Na wierzch położył saniki, robiąc z nich rodzaj namiotu.

Filip rozłożył swoje łóżko polowe, okrywając je z wierzchu płótnem. Wkrótce rozległo się głośnie chrapanie Brama. Ognisko wygasło zupełnie. Filip przez długi czas nie mógł usnąć, w końcu jednak błogosławiony sen spłynął mu na powieki, pozwalając zapomnieć o wszystkich troskach i kłopotach.

Spał jeszcze w najlepsze, kiedy nagle ciężka dłoń spoczęła mu na ramieniu. Poczłł gwałtowne szarpanie — otworzył oczy.

— Wstawać, monsieur — zabrzmiał mu nad uchem głos Brama.

Noc była tak ciemna, że nie mógł go dojrzeć. Zerwał się szybko. Słyszając, jak Bram coś mówi do wilków, zrozumiał, że ruszają w dalszą drogę. Zwinął swój namiot, złożył go razem z łózką na sanie i zapaliwszy zapałkę, spojrział na zegarek. Było zaledwie piętnaście minut po północy.

Aż do godziny drugiej w nocy jechali wśród zupełnej ciemności, ciągle w kierunku zachodnim. Potem na niebie rozbłysły gwiazdy, stopniowo coraz liczniejsze, siejąc delikatną światłość na śnieżną równinę. Filip co pewien czas zapalał zapałki, by spojrzeć na busolę i zegarek.

Okolo godziny trzeciej rano natknęli się na mały laszek, co Filipa ogromnie zadziwiło. Te kilkadziesiąt karłowatych świerków, dziwacznie powykręcanych od wichru, zajmowało nie więcej jak pół akra przestrzeni. Ale były one

niewątpliwie zapowiedzią jakiegoś większego lasu.

Rzeczywiście, po upływie niespełna godziny, kiedy cała karawana skręciła z powrotem na północ, w śnieżne ostępy Barrenu, ujrzeli rysujące się kontury zarośli. Najpierw natknęli się na drzewa dość rzadko rosnące, w miarę jednak posuwania się w głąb, las stawał się coraz gęstszy, a drzewa coraz grubsze i wyższe. Ujechali w ten sposób osiem do dziewięciu mil. I nagle w szarym mroku wstającego dnia ujrzeli stojącą w oddali samotną chatkę.

Serce Filipa zabiło żywiej. Ale rozczarował się szybko. Chata musiała być zupełnie pusta; drzwi wejściowe zasypane niemal zupełnie zwalami śniegu, z komina nie wychodził dym. Zatrzymali się tu na chwilę i znów Bram dał sygnał do dalszej jazdy, trzaskając głośno z bata. Wilki pędziły dalej, a przez las niosło się echo złowrogiego śmiechu Brama.

Zniknął za nimi ów pusty domek, zasypany śniegiem. Filip jednak był pewien, że koniec podróży już musi być niedaleko. Wilki ledwo

dyszały; Bram również gonił ostatkiem sił. Filip wpatrywał się przed siebie z wciąż rosnącym zainteresowaniem.

Minęły dalsze dwie godziny od chwili, gdy wyruszyli spod owej opuszczonej chatki. Była godzina ósma rano, kiedy sanki wyjechały z lasu na rozległą polanę. W środku tejże stała znów samotna chatka. Już na pierwszy rzut oka Filip doszedł do wniosku, że chatka ta musiała być przez kogoś zamieszkana. Z komina snuła się w górę wąska smuga dymu.

Z całej chaty widać było właściwie tylko sam dach, zbudowany z bierwion drewnianych, a otoczona była palisadą wysoką na osiem stóp. Bram zatrzymał zaprzęg na parę kroków od znajdującej się w palisadzie furtki. Wsunąwszy rękę w specjalnie zrobiony otwór, odsunął umieszczoną wewnątrz zasuwkę. Furtka otworzyła się.

Filip zauważył na twarzy Brama dziwne zmiany. Zniknął z niej ów wyraz brutalnej, zwierzęcej obojętności. Oczy błyszczały mu dziwnie, a z rozchylonych ust wypadały jakieś niezrozumiałe słowa. Dyszał gorączkowo, nie tyle ze

zmęczenia, lecz pod wpływem jakiegoś silnego wzruszenia.

Filip milczał, obserwując go bacznie. Z tyłu dochodziło go skomlenie wilków, czekających niecierpliwie, aż Bram zdejmie z nich uprząż i puści je na wolność. Filip zaciskał kurczowo pięści; czuł złość i dziwny ból, patrząc na twarz Brama, jaśniejącą wewnętrzną radością.

Bram nie raczył nawet spojrzeć na niego. Wpatrywał się w chatkę i w ów unoszący się dym z komina. Nagle zwrócił się do Filipa:

— Monsieur, trzeba iść do chaty!

Otworzył furtkę. Filip szedł poza palisadę i przystanął, niepewny, co Bram zamysła dalej robić.

Człowiek-wilk wskazał ręką chatę:

— Do zagrody wpuszczam wilki, monsieur.

Filip zrozumiał. Owa „zagroda”, o której mówił Bram, było to miejsce otoczone palisadą. Tu widocznie wilki stale przebywały, a Bram chciał mu dać do zrozumienia, że powinien wejść do chaty, zanim jeszcze wilki, wyprężone, wpuszczone zostaną do zagrody.

Całym wysiłkiem woli starał się opanować wzruszenie i wydawać się spokojnym. Od furtki do drzwi chaty wiodła wąska ścieżka, wydeptana nogami. A z tych drobnych odcisków mokasynów nie trudno było odgadnąć, że ścieżkę ową wydeptały nogi kobiece. Filip starał się wmówić sam w siebie, że w chacie znajduje się zapewne jakaś Indianka, która prowadzi Bramowi gospodarstwo... A może młoda Eskimo-ska, którą sprowadził sobie tu gdzieś spod bieguny...

Przeszedł po wydeptanej ścieżce aż do drzwi wejściowych. Nie pukając wszedł do środka, drzwi zamknęły się za nim.

Wówczas Bram, odrzucając w tył swą ogromną głowę, wybuchnął triumfującym śmiechem. Śmiechem tak doniosłym i przeraźliwym, że nawet wilki, mimo całego zmęczenia, zerwały się na nogi, nastawiając uszu.

W tej samej chwili Filip odkrył w chacie tajemnicę owej złocistej sieci.

ROZDZIAŁ IX. PIERWSZE SPO- TKANIE Z NIEZNAJOMĄ

W chatce było tylko jedno okno, wychodzące na wschód. Zaglądało przez nie blade zimowe słońce, rzucając swe blaski na przeciwległą ścianę. A tam, w tej ścianie, mieściły się drzwi. W drzwiach stała młoda dziewczyna, oblana promieniami słońca, niby w aureoli swych złotystych włosów, tych samych włosów, z których upleciona była owa zagadkowa siatka. Włosy rozplecione spadały kaskadą na jej ramiona, piersi, sięgając aż do ud. Wyglądała cała jak żywy płomień, okryta błyszczącymi puklami, na których kładły się promienie słońca.

Takie było pierwsze wrażenie, jakie odniósł Filip na jej widok. Drugie to takie, że pewnie przeszkodził jej w porannej toalecie. Stała bez ruchu, jak oniemiała ze zdumienia, przypatrując się mu uporczywie. Spod bujnych włosów wychylały się ramiona śnieżnej białości.

Potem zwrócił oczy na jej oblicze. Poczul, jak krew mu mrozi się w żyłach. Na pięknej,

lecz trupio bladej twarzyczce malowały się wyraźnie ślady przebytych tortur i udręczeń. Dziewczyna była młoda, mogła liczyć najwyżej dwadzieścia lat. Oczy miała koloru fioletowego, jak ametysty. Takich oczu Filip nigdy jeszcze nie widział. W oczach tych wyczytać było można całe piekło przeżytych już mąk i trwogę przed tym, co ją jeszcze czeka.

— Proszę się niczego nie lękać — przemówił Filip łagodnym głosem. — Nazywam się Filip Brant, należę do Lotnej Policji z Royal North-West.

Dziewczę nic na to nie odpowiedziało. Filip nie zdziwił się zbyt, bo i cóż więcej mogła mu powiedzieć? Z oczu jej można było wyczytać od razu tragiczną historię jej niewoli. Choć, prawdę mówiąc, czułby się bardzo szczęśliwym, gdyby raczyła otworzyć usta i powiedzieć cokolwiek. Co zaś tyczy się jego samego, jedno tylko wiedział na pewno: zabije Brama, gdy nadejdzie właściwa chwila.

Powtórzył ponownie swe słowa poprzednio wymówione. Z ust młodego dziewczęcia

wyrwało się głębokie westchnienie. Ale oczy zachowały nadal swój wyraz przerażenia. Nagle podbiegła do okna. Chwyciła się kurczowo ramy i przechylona do przodu, wpatrywała się z ogromnym przejęciem. Bram właśnie zagaśniał swoje wilki do zagrody. Po chwili odwróciła głowę, spojrzała na Filipa, w oczach jej malowało się przerażenie, coś podobnego do lęku zwierzęcia wobec groźnego mu bata. Filip zdziwił się i przestraszył nawet. Podszedł o krok bliżej. Wówczas młoda dziewczyna rzuciła się gwałtownie do tyłu, zasłaniając się obnażonym ramieniem, a z jej piersi wyrwał się przenikliwy krzyk.

Na ten krzyk Filip stanął jak wryty. Przemówiła! A on nie zrozumiał tego, co chciała mu powiedzieć. Rozchylił szeroko połę płaszcza, odsłaniając przymocowaną na bluzie brązową odznakę policyjną. Ten widok nappełnił dziewczynę niewymownym zdziwieniem. Teraz dopiero zorientował się Filip, że zlekła się go; bo rzeczywiście zaniedbany, nie ogolony od ośmiu dni, musiał wyglądać nie wiele lepiej od

Brama. Uspokoila się widocznie, gdy ujrzala na jego piersiach odznakę policyjną.

— Nazywam się Filip Brant — powtórzył — należę do Lotnej Policji z Royal North-West. Umyślnie przybyłem tutaj, aby pomóc pani, o ile zajdzie tego potrzeba. Mogłem już dawno zaaresztować Brama, zabić go nawet. Ale nie uczyniłem tego, właśnie ze względu na panią. Czemu pani znajduje się tutaj, w towarzystwie szaleńca i mordercy?

Patrzyła na niego z ogromną uwagą, na bladą dotychczas twarzyczkę wystąpiły silne rumieńce. Widział, jak w oczach jej gasł lęk i trwoga, a budziły się iskry rosnącego zainteresowania. Z oddali słychać było głos Brama i ujadanie wilków. I nagle zaczęła mówić, szybko i gorączkowo. Ale mówiła jakimś językiem Filipowi zupełnie nie znanym. Wydał mu się ten język równie zagadkowym, jak zagadką była w ogóle obecność tej młodej i pięknej dziewczyny w chacie Brama.

Wiedziała, że Filip nie może jej zrozumieć. Nagle podeszła ku niemu, kładąc mu palec na

ustach — po czym przyłożyła palec do swych ust, potrząsając znacząco głową. Filip domyślił się, że w ten sposób chciała mu dać do zrozumienia, iż mają sobie wzajemnie dużo do opowiadania, że jednak nie mogą się porozumieć, bo mówią każde innym językiem. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, stał bezradny, nie spuszczał z niej oka.

W tej chwili dały się słyszeć za drzwiami ciężkie kroki Brama. Pociemniały od razu błyszczące żywo oczy dziewczęcia. Gwałtownym ruchem odgarnęła włosy i pobiegła do sąsiedniego pokoju.

Zaledwie tam weszła, otworzyły się drzwi. Wszedł Bram, dźwigając ciężki ładunek, który zdjął z sań. Rzucił to wszystko na podłogę i nie zwracając uwagi na Filipa, utkwiał wzrok w zasłonie odgradzającej pokoje. Filip obserwował zachowanie się Brama. Obaj milczeli, stojąc bez ruchu. Ciszę przerywały tylko kroki młodego dziewczęcia kręcącego się w przyległym pokoju.

Sercem Filipa miotają sprzeczne uczucia. Gdyby miał broń pod ręką, na pewno załatwiłby się od razu z Bramem, w którego oczach błyszczało dziwne światło, usprawiedliwiające najgorsze podejrzenia Filipa. Prawda, nie miał żadnej broni. Ale rozglądając się po pokoju spostrzegł leżącą opodal pieca wiązkę drzewa. Zrozumiał, że w razie czego wystarczy schylić się i wybrać jakieś grube, mocne polano... i to mu wystarczy.

Uchyliła się zasłona — w drzwiach stanęła młoda dziewczyna, z uśmiechem na twarzy, z rozjaśnionymi oczami. Patrzyła na Brama, do niego śmiała się najwyraźniej. Podziałało to na Filipa jak uderzenie biczem. Wyciągnęła ramiona i zaczęła mówić do Brama.

Filip nie mógł zrozumieć ani jednego słowa z tego, co mówiła. Nie był to język francuski, ani niemiecki, ani angielski; nie było to narzecze Chippewayów czy Eskimosów. Mówiła głosem łagodnym i zupełnie czystym; z początku tylko wyczuć w nim można było pewne drżenie. Oczy spoglądały jasno, wesoło, nie by-

ło w nich ani śladu owego lęku, który Filip poprzednio dwukrotnie zauważył. Włosy zaplotła i uczesała starannie; wyglądała, jakby żywcem zesza z jakiegoś portretu kobiety, nie pochodzącej w żadnym razie z Północy.

Człowiek-wilk zmienił się najzupełniej. Oczy jaśniały mu szczęściem, wargi poruszały się bezdźwięcznie, jakby po cichutku powtarzał sobie wszystko to, co mówiła mu młoda dziewczyna. Przypominał poczciwe duże psisko, nadstawiające kark pod pieścizoty swego pana.

Czyżby ją rzeczywiście rozumiał? Czyżby znał ten dziwny język? Filip zapytał się w duchu, jaka właściwie rola jemu samemu przypadła w tym wszystkim. Młode dziewczę zdawało się naprawdę być szczęśliwe. Co z tego wszystkiego wyniknie?

Kiedy skończyła mówić, człowiek-wilk odpowiadał jej tylko jakimś gardłowym okrzykiem, w którym brzmiała nuta triumfu. Przyklęknął na ziemi koło swojego szarego worka i mamrocząc coś niezrozumiale, zaczął wyrzucać jego zawartość na podłogę.

Spojrzenie Filipa skrzyżowało się z oczami młodej dziewczyny. Założywszy obie ręce na piersi, zdawała się prosić go, by zechciał ją zrozumieć. I Filip zrozumiał. Oto wobec Brama zmuszała się do wesołości, udawała szczęśliwą, śmiała się. Grała rolę, jaką sobie sama narzuciła.

A teraz zwracała się do Filipa, starała się wytłumaczyć mu, co znaczy to jej zachowanie. Wskazała palcem na Brama, którego olbrzymia głowa i szerokie plecy pochylały się nad workiem, i głosem stłumionym rzekła:

— *Tossi, tossi, han er tossi...*

Co to miało znaczyć? Filip na próżno łamał sobie głowę. Nie wiedząc już, co począć, wskazał jej palcem na leżące pod piecem polana. Nietrudno było odgadnąć, co chciał przez to powiedzieć. Bram klęczał, odwrócony do nich plecami. Może więc najlepiej zabić go od razu na miejscu? Jedno uderzenie polanem...

Potrząsnęła głową; wydawała się nawet silnie zaniepokojona podobnym pomysłem. Za-

częła znów mówić coś półgłosem. Po czym spoglądając na Brama, powtórzyła:

— *Tossi, tossi, han er tossi...*

Nagle podniosła rękę do czoła, opierając na nim cienkie swe paluszki. Starła się w ten sposób objaśnić swoje słowa, dać mu do zrozumienia, co ma na myśli. Chciała powiedzieć to, o czym Filip już od dawna wiedział: że Bram Johnson jest szaleńcem niepoczytalnym.

Powtórzył za nią: „*Tossi, tossi...*” uderzając ręką o czoło i wskazując oczami na Brama. Tak jest, o to jej widocznie szło, bo odetchnęła, jakby jej wielki ciężar spadł z serca. Bała się, aby Filip nie rzucił się na Brama. A teraz on już zrozumiał, że temu nieszczęśliwemu nie trzeba robić żadnej krzywdy. Jakże się wydawała szczęśliwą!

Ale w sercu Filipa obudziła się zazdrość na nowo. Cała sprawa, zamiast się wyjaśnić, komplikowała się coraz bardziej. Czymże właściwie było to młode dziewczę dla Brama? Chwilami zdawała się drzeć z trwogi przed tym wariatem,

wyjętym spod prawa, a jednak zależało jej na tym, żeby mu się żadna krzywda nie działa?

Tymczasem Bram wyładował wszystkie zapasy żywności i poukładał je na podłodze.

Oczy młodej dziewczyny zwróciły się ku leżącym na ziemi przedmiotom. A w jej oczach wyczytać było można głód! Całym swym jestestwem ciągnęła do tych błogosławionych wiktuałów. W spojrzeniu jej odbijało się całe piekło przebytych cierpień! Była głodna! Tęskniła za jedzeniem, za jakimś pożywieniem ludzkim, które by nie było krwawiącym mięsem, ściernem rzuconym wilkom! I oto był powód, dla którego Bram zapuścił się tak daleko na południe, dlaczego tak brutalnie rzucił się na Filipa, aby wyrwać mu zapasy żywności. Chciał je oddać tej młodej dziewczynie!

Filip widział, jak powodowana ambicją kobiecą starała się ukryć przed jego wzrokiem ową szaloną radość na widok rozpakowanego przez Brama jedzenia. Gdyby jego tu nie było, na pewno dawno już klęczałyby na podłodze obok Brama. Ale nie śmiała tego zrobić w obecności

obcego człowieka. A kiedy ich spojrzenia spotkały się, młode dziewczę splonęło rumieńcem. Trudno, nie mogła taić dłużej, pusty żołądek dopominał się gwałtownie o swoje prawa. Ale co on sobie o niej pomyśli? Że i ona zwariowała, jak Bram, że stała się niemal bydlęciem.

Filip szybko podszedł do niej i kładąc jej rękę na ramieniu, spytał:

— Zjemy razem śniadanie, nieprawdaz?

ROZDZIAŁ X. PIERWSZE ŚNIA- DANIE

Filip cały zadrżał, czując pod ręką ciepłe ramię dziewczęcia. Natychmiast jednak opamiętał się: może Bram rozgniewa się, widząc, że Filip traktuje nieznajomą z taką poufałością? Zwrócił się więc ku niemu z wyciągniętą przyjaciennie drugą dłonią, mówiąc tonem możliwie swobodnym:

— No dalej, Bram! Rusz się! Widzisz przecie, że ona umiera prawie z głodu! Teraz już rozumiem, czemu zabrałeś mi moje zapasy żyw-

ności i dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu! No, czemu nic nie gadasz? Czemu nie powiesz mi, kto ona jest, skąd się tu wzięła i czego właściwie chce ode mnie?

Na próżno czekał na odpowiedź. Bram milczał, wpatrując się tylko w niego uważnie, jak to było w jego zwyczaju.

— Powtarzam ci — podjął — że jestem twoim przyjacielem! Ja...

Nie dokończył zdania, bo Bram zniemacka wybuchnął dzikim śmiechem. Śmiech ten, w ciasnej, zamkniętej chałupce brzmiał jeszcze stokroć bardziej niesamowicie i strasznie, niż wśród pustkowi Barrenu. Młoda dziewczyna przytuliła się do Filipa, drżąc cała. Mimo wszystko jednak próbowała z wysiłkiem uśmiechnąć się do Brama.

A Bram śmiał się dalej. Podeszedł powoli do pieca i zaczął poprawiać ogień. Spojrzenie Filipa przeniosło się od filetowych oczu dziewczęcia, patrzących nań z niemą prośbą, na olbrzymią postać Brama, pochylonego przy ognisku.

Zacisnął odruchowo pięści. Sposobność była znakomita. Jednym susem dopadnie tego szaleńca, chwyci go krzepko za gardło, przydusi. W tej pozycji walka będzie łatwiejsza, a szanse Filipa co najmniej równe.

Ale młode dziewczę powstrzymało go i tym razem. Zanim zdążył się ruszyć, wpiła mu palce w ramię i odciągnęła na bok, jak najdalej od Brama, szepcząc coś półgłosem w swym niezrozumiałym języku. Tymczasem Bram wstał, ujął w ręce wiadro i nie patrząc nawet na nich, opuścił chatę.

Zapadło nieco kłopotliwe milczenie. W duszy Filipa budziły się znowu podejrzenia; nie mógł zrozumieć, dlaczego ona tak uporczywie broni Brama, nie pozwalając zrobić mu żadnej krzywdy. Młode dziewczę chwyciło go za rękę. Poprowadziła go za sobą do owego drugiego pokoiku, służącego jej za mieszkanie.

Nietrudno było odgadnąć, co miała na myśli. Chciała mu pokazać, co Bram dla niej robił. Oto urządził jej osobny pokoik za pomocą drewnianego przepierzenia. Żeby zaś poko-

ik ten rozszerzyć, dobudował doń jeszcze małą przybudówkę, przyczepioną do ściany chaty. Drzewo, z której przybudówka ta i drzwi wewnętrzne były zrobione, było jeszcze zupełnie świeże, nie wyschnięte. Całe umeblowanie pokoju składało się z prymitywnie wyciosanego stołu i krzesła; za posłanie służyło kilka sztuk skór niedźwiedzich. Na ścianie wisiało trochę ubrania, między nimi czapeczka futrzana i gruby sukienny płaszcz, przepasany czerwoną wstążką. Na stole leżał mały pakiet, starannie owinięty.

— Tak, tak, rozumiem już — monologował Filip, wpatrując się w ametystowe oczy dziewczęcia. — Chce mi pani dać do zrozumienia, że nie powinienem robić Bramowi Johnsonowi żadnej krzywdy. Chce mi pani wmówić, że ten bydlak nigdy pani nie dotknął, że nigdy nie żądał żadnej zapłaty za oddawane usługi. Czemuż w takim razie pobladła pani przedtem jak płótno? Prawda, jak widzę, trwoga już minęła. Twarzyczka pani znowu jest różowa i ca-

cana, aż miło patrzeć. No, niechże mi pani to wszystko wytłumaczy...

Słuchała go uważnie, kołysząc lekko swym smukłym, zgrabnym ciałem, oczy błyszczały jej dziwnie.

— Tak, tak, kpi sobie pani po trochu ze mnie — ciągnął dalej z uśmiechem. — Przy najmniej na parę minut, prawda? A może i ja dostałem bzika, podobnie jak Bram? Przyzna pani, że nieczęsto zdarzają się podobne przygody... Wyruszyłem w pościg za Indianami. Natknąłem się na wariata. A w chacie wariata, kogóż znajduję? Panią! Wydawałaś mi się w promieniach słońca jak anioł, stojący u bramy piekieł. Nie rozumie pani, co mówię, prawda? Nic nie szkodzi... Chcę panią oswobodzić od tego wariata. Nie pozwalasz... Ręce mi po prostu opadają! Żebym tak miał z czego, dałbym chętnie milion dolarów, byleby zmusić Brama do powiedzenia mi wszystkiego. Nigdy pani nawet nie tknął? Mój Boże, jakże bym pragnął w to wierzyć!

Z zachowania się młodej dziewczyny poznać można było, że stara się wyczytać z oczu Filipa jego myśli, odgadnąć sens jego słów.

Filip ciągnął dalej:

— Znajdujesz się w oddaleniu jakichś tysięcy pięciuset mil od wszelkich istot ludzkich... I to z takimi oczami i z włosami tak złotego koloru!... Gdyby Bramowi zachciało się mówić, na pewno objaśniłby, że spadłaś tu prosto z księżyca, aby się nim opiekować i robić porządek w jego chatce. No, jakże? Nie może mi pani dać zupełnie żadnych objaśnień? Kim jesteś i skąd się tu wzięłaś?

Urwał, jakby oczekując odpowiedzi. Ale odpowiedzią był tylko uśmiech, uśmiech dziwnie słodki i miły. Opanowało go dziwne wzruszenie. Nie bacząc na to, że Bram może lada moment wejść, ujął w obie dłonie jedną rączkę dziewczęcia, ściskając ją mocno.

— Nie rozumie pani ani słóweczka z tego, co mówię — prawda? Ani słóweczka! Nic nie szkodzi; powolutku dojdziemy do porozumienia. To jedno wiem już na pewno, że od czasu,

jak spadłaś tutaj z księżycy, nie jadłaś na śniadanie, obiad i kolację nic innego, prócz mięsa dzikich zwierząt, upolowanych przez Brama. I kto wie, może nawet bez woli zupełnie! Miałaś wielką ochotę rzucić się na te prowianty przywiezione przez Brama. I zagadaliśmy się tak, że zapomnieliśmy oboje o najważniejszym, chodźmy zatem na śniadanie!

Poprowadził ją do pierwszego pokoju, ku leżącym na podłodze wiktuałom. Pomagała mu je zbierać. Wydobył mały garnuszek, wrzucił weń porcję suszonych płatków ziemniaczanych i zabrał się do przyrządzania tej potrawy na piecu.

— Mówiliśmy więc — podjął na nowo — że Bram traktuje panią z całym szacunkiem... Uff! Jaką mi to sprawia ulgę! Nie ma pani pojęcia, jak mnie to cieszy! A jestem pewny, że gdyby tak nie było naprawdę, nie powstrzymałabyś mnie, kiedy chciałem roztrzaskać głowę temu potworowi. To jasne jak słońce.

Odwrócił oczy od pieca i spojrział na nią. Śliczna była naprawdę.

Włosy rozplotły się jej i opadły na ramiona. Nigdy by nie uwierzył, aby włosy kobiecie mogły być tak jedwabisto lśniące i mieć taki złocisty odcień.

Nagle przyszedł mu nowy pomysł do głowy. Uderzając się pięścią w piersi, powtórzył kilkakrotnie:

— Nazywam się Filip Brant — Filip Brant — Filip Brant.

Za każdym razem wskazywał wymownie palcem na siebie samego.

Rozjaśniło się oblicze młodej dziewczyny. Pękła wreszcie dzieląca ich dotąd zaporą.

Powtórzyła za nim powoli, wyraźnie jego imię i nazwisko. A potem uśmiechnęła się i kładąc obie dłonie na piersi, rzekła:

— Celia Armin.

Filip omal nie wypuścił z ręki garnuszka, w którym smażyły się kartofle. Miał ochotę skoczyć do niej, do owej „Celi Armin”. Pohamo-

wał się jednak i nie odstępując od pieca, powtórzył tylko kilkakrotnie:

— Celia Armin.

A ona za każdym razem przytakiwała mu skinieniem głowy.

Zdawało mu się, że jest to imię francuskie. Spróbował zatem powtórzyć kilka najprostszych zdań francuskich, jakich nauczył się od Piotra Breault. Ale widać było, że ona nie rozumie ani słowa. Więc powtórzył tylko:

— Celia!

W tej samej chwili odpowiedziała:

— Filip!

Zza drzwi doleciało wycie i skomlenie wilków. Rozległy się ciężkie stąpania i człowiek-wilk wszedł do chaty.

Filip poświstywał wesoło, potrząsając garnkiem, w którym smażyły się kartofle. Minę miał najzupełniej obojętną, jak gdyby nic w ogóle nie zaszło. Po chwili zwrócił się do Celi, wskazując palcem na imbryk do kawy:

— Proszę się zająć kawą, Celio. Śniadanie już gotowe.

Wzięła imbryk i podeszła do stołu.

Filip spojrział na Brama. Człowiek-wilk stał oparty o drzwi wejściowe, spoglądając zupełnie bezmyślnym, tępym wzrokiem na nich oboje. W jednej ręce trzymał wiadro napełnione śniegiem, w drugiej mrożoną rybę.

— Za późno już teraz na rybę, mister Bram — odezwał się Filip. — Młoda lady nie mogła tak długo czekać. Zresztą zdaje mi się, że mięso surowe i ryby przejadły się jej już zupełnie. Chodźmy na śniadanie!

Wysypał na cynowy talerz porcję gorących przysmażonych kartofli i postawił je przed Celią. Obok położył kilka placków owsianych, które upiekł sobie jeszcze przed wyruszeniem na tę wyprawę. Drugą porcję kartofli postawił przed Bramem, trzecią dla siebie.

Bram stał milczący, trzymając wiadro i mrożoną rybę i z głuchym pomrukiem podszedł do stołu. Ogromną swą, ciężką łapę oparł o ramię

Filipa, ściskając go tak mocno, że aż zatrzeszczały kości. Spojrzał na młode dziewczę. Potem odepchnął gwałtownie Filipa i podsunął wszystkie trzy talerze Celi.

— Pan będzie jeść rybę, monsieur!... — oświadczył krótko.

Słyszając go w tej chwili, nikt by nie przypuszczał, że mówi to wariat. Ale krótka chwila przytomności minęła; w chacie zabrzmiał znów jego szaleńczy, dziki śmiech, że aż się ściany izby zatrzęsły. Odpowiedziało mu z oddali przeciągłe wycie wilków.

Filip powstrzymywał się całą siłą woli, by nie wybuchnąć śmiechem wobec tego objawu galanterii. A w oczach Celi zamigotały iskierki triumfu: Bram zawsze był dla niej uprzedzająco grzeczny. Filip mógł się o tym naocznie przekonać.

Filip wziął rybę, zagrzał ją na piecu, przekroił na połowę i zaniósł Bramowi. Równie dobrze mógłby ją podać drewnianej figurce, bo Bram wstał: nie patrząc wcale na rybę, wziął kawał surowego mięsa karibu, wsadził je pod

pachę i wyszedł z izby, mruczając coś niezrozumiale.

ROZDZIAŁ XI. ZACZYNAMY SIĘ ROZUMIEĆ

Zaledwie się drzwi za nim zamknęły, Celia podbiegła do Filipa i powiodła go do stołu. Aby się przypodobać Bramowi, jadła ze wszystkich trzech talerzy. Teraz jednak nałożyła Filipowi na talerz kartofli, położyła obok placek i naląła mu garnuszek kawy.

Filip uśmiechnął się tylko. Miał szaloną ochotę przytulić do twarzy główkę Celi i ucałować ją za to.

— Chcesz się ze mną podzielić swym śniadaniem, prawda? — mówił — Ale nie znasz mojej sytuacji, maleńka. Najadłem się tych obrzydliwych placków (ujął go w rękę, by mogła lepiej zrozumieć), najadłem się ich tyle w ciągu ostatnich dni, że na sam widok placków czuję mdłości. Oddałbym wszystkie placki owsiane na całym świecie za parę sztuk tych ślicz-

nych korniszonów, które moja matka umiała tak świetnie przyrządzać. Ta ryba Brama, to dla mnie prawdziwy specjał; równie jak i ta kawa, podana pani rączką.

Usiadła naprzeciwko i nie spuszczała z niego oczu, gdy jadł. A Filip, jedząc, zastanawiał się znowu, skąd ona się tu mogła znaleźć, w tym opuszczonym zakątku ziemi, w podobnym otoczeniu. Musi rozwiązać tę zagadkę! I to jak najszybciej.

Widocznym było, że tak jak Filip pała chęcią dowiedzenia się wszystkiego, tak samo ona pragnęłaby mu wszystko opowiedzieć. Wyczytać to było można z jej oczu, z wyrazu twarzy. Tylko, jaką drogą dojdą do tego?

Skończywszy śniadanie Filip wstał od stołu i podszedł razem z Celią do okna. Ujrzeli Brama stojącego w „zagrodzie” razem wśród hordy swych wilków, między które rozdzielał kawały mięsa. Filip ujął w ręce rozplecione włosy młodej dziewczyny, stojącej obok niego. Rumieńce wystąpiły mu na twarzy, kiedy bawił się tymi złotymi kosmykami. Celia patrzyła na

niego z nieukrywanym zdziwieniem. Spróbował z kilku nitek spleść coś podobnego do owej sieci złotej, znajdującej się w posiadaniu człowieka-wilka. Wymownym gestem wskazał jej na ową sieć uplecioną przez siebie i przez Brama.

Zrozumiała go od razu. Za pomocą odpowiedniej mimiki dała mu do zrozumienia, że rzeczywiście z jej włosów Bram splótł niejedną już siatkę. Pochyliła głowę, pokazując Filipowi kilka miejsc, na których włosy miała poucinane.

Potem wyciągnęła ku niemu rękę, mówiąc:
— Filip Brant — Ameryka!

I natychmiast, wskazując palcem na siebie samą, dodała żywo:

— Celia Armin — Danmark!

— Danmark! — powtórzył. Naprawdę? Pochodzisz z Danii? Z Danii? Danmark?

Skinęła potakująco głową.

— Danmark — Kobenhavn — wymówiła wyraźnie.

— Dania — Kopenhaga! No, Bogu dzięki, zaczynamy wreszcie rozmawiać! Celia Armin z Kopenhagi. Ale to mi jeszcze nie wyjaśnia, jakim sposobem znalazłaś się tutaj?

Wskazał ręką na podłogę i szerokim gestem ogarnął cztery ściany izby:

— Jakim cudem znalazłaś się tutaj?

Odpowiedź zdziwiła go niesłychanie. Oto Celia mówiła gorączkowo:

— Kobenhavn — Muskvas — Petersburg — Rusland — Sibirien — Amerika. — Kopenhaga... — Moskwa... — Petersburg... — Syberia — Ameryka? — powtarzał niedowierzająco. Celio, na miłość boską, wyjaśnij mi to, bo zwariuję naprawdę! Przecież niepodobna uwierzyć, abyś z Kopenhagi przyjechała sobie tak po prostu przez całą Rosję i Syberię, aż do Kanady, aby ostatecznie dostać się w ręce tego szaleńca, wśród pustkowi Barrenu, z dala od świata i ludzi! To niemożliwe! Musi to być jakieś nieporozumienie! Czekaaj, zobaczymy zaraz...

Przypomniał sobie, że ma w kieszeni mały podręcznik geograficzny, jaki noszą wszyscy funkcjonariusze policji. Na końcu podręcznika znajdowała się mapa całej kuli ziemskiej. Rozłożył ją przed Celią, która po chwili szukania małym paluszkiem wskazała na Kopenhagę. Pochylił się nisko nad jej głową, by lepiej widzieć. Ach, z jakąż ochotą schowałby swą twarz w te jej miękkie, złociste włosy! Z jaką rozkoszą ująłby tę główkę w swoje dłonie!

W gruncie rzeczy wszystko było mu jedno w tej chwili, czy ona pochodzi z Kopenhagi, czy spadła z księżyca. Najważniejsze, że znalazł ją. Skakałby po prostu z radości, jak podróżnik, któremu udało się odkryć nieznane krainy i objąć je w swoje posiadanie. Ale pohamował się i powstrzymując oddech, wodził wzrokiem po mapie i małym paluszku poruszającym się na niej.

Z Kopenhagi paluszek przesunął się na Moskwę, stamtąd na Petersburg, a potem powoli wędrował po mapie przez Rosję, Syberię, aż do cieśniny Beringa.

— *Skunnert...* — dodała cicho w formie objaśnienia.

Oparła paluszek na mapie w tym miejscu, gdzie widniała duża, zielona plama; była to Alaska.

Zawahała się przez chwilę. Widocznie starała się przypomnieć sobie, jaką drogą mogła stamtąd iść dalej. Mapa nie mogła jej być w tym pomocna. Po krótkim namyśle ujęła Filipa za rękę, podprowadziła go do okna i wskazała na wilki. A zatem: Alaska... potem wilki, względnie psy... i sanki.

Filip nie posiadał się z radości. Przytakiwał jej głową z zadowoleniem. Zrozumiał wszystko: nazywa się Celia Armin, pochodzi z Kopenhagi. Przyjechała na Alaskę, a stamtąd puściła się saniami w dalszą drogę.

Teraz starała mu się wyjaśnić powód swej podróży i okoliczności, wskutek których dostała się w ręce Brama Johnsona. Odwrócona plecami do okna mówiła żywo, gwałtownie, niemal ze szlochem, pod wpływem ogarniającego ją wzruszenia. Opowiadała mu, to było

zupełnie widoczne, całą przeżyta straszną tragedię, której Filip już od pierwszej chwili po trochu się domyślił. Mówiła długo, załamując rozpaczliwie ręce. A kiedy wreszcie skończyła, zasłoniła rękami twarzyczkę, wybuchając spazmatycznym szlochem.

Zza okna doleciał ich ordynarny szaleńczy śmiech Brama.

Śmiech ten brzmiał w uszach Filipa niby krwawa obelga. Krew zawrzała mu w żyłach. Jednym susem podskoczył do pieca, wyciągnął z niego duże płonące polano — po czym podbiegł do drzwi, otworzył je gwałtownie i wypadł przed domek.

Pobiegł za nim straszny, rozpaczliwy krzyk kobiety, krzyk, w którym brzmiała gorąca prośba. I ujrzał równocześnie całą horde wilków, które zbite w jedną gromadę pędziły ku niemu z drugiego końca zagrody. Tym razem Bram Johnson nie powstrzymywał wilków, lecz stał spokojnie, obserwując całą scenę. Widząc ten straszny widok, Celia krzyknęła głośno i roz-

paczliwie. Odpowiedział jej ponury śmiech człowieka-wilka.

Filip nie stracił głowy na widok niebezpieczeństwa. Zakręcił płonącym polanem młynka ponad głową i z całym rozmachem cisnął je między pędzące bestie. Między wilkami powstało zamieszanie. Filip skorzystał z okazji, obrócił się i wpadł do izby. Błyskawicznie zamknął za sobą drzwi, a Celia natychmiast zasunęła skobel.

Czas już był najwyższy, bo w parę sekund później wilki dopadły drzwi. Zatrzęsa się cała chata pod ciężarem ich cielsk. Słysząc było kłapanie szczęk i groźne pomruki za drzwiami. Spojrzał na Celię. Była blada jak trup, trzęsa się cała, daremnie usiłując ukryć trwogę i wzruszenie.

Filip zrozumiał teraz całe szaleństwo swego postępu i myśli Celi. Gdyby wilki dopadły go, on zginąłby, a ona straciłaby ostatnią deskę ratunku. Pochylił się do niej, przytulając do siebie twarzyczkę, na której wykwitł słaby uśmiech.

— Celio — mówił ochryplym nieco głosem, ściskając mocno jej drobne rączki — Celio, ty moja maleńka tajemnicza dziewczeczko, wiesz, jestem prawie szczęśliwy, że nie możesz rozumieć tego, co ci mówię, bo z pewnością wyśmiałybyś mnie tylko. Znam cię dopiero od dziś rana. I już cię pokochałem. Żadna kobieta w moim życiu nie zrobiła na mnie tak silnego wrażenia jak ty. Żadnej jeszcze tak nie pożądałem. Kocham cię, a tyś powinna wiedzieć o tym. Nie uwierzyłybyś w tak gwałtowną, nagłą miłość — uważałybyś mnie za drugiego Brama Johnsona.

Spoza drzwi dochodził głos Brama; mówił coś do wilków w narzeczu Eskimosów, odpędzał je od drzwi, pod którymi się skupiły. Wilki warczały z zadowoleniem. Filip puścił obie ręce Celii, podszedł do drzwi i odsunął drewniany skobel.

Bram wszedł do izby.

Filip, niepewny, co go czeka, naprężył mięśnie, gotów na wszystko. Ale ku jego ogromnemu zdziwieniu Bram wydawał się zupełnie

spokojny i obojętny. Mruczał coś tylko pod nosem, z głupkowatą miną, uśmiechniętą, jakby ubawiony tym wszystkim co zaszło. Celia wpiła się paznokciami w ramię Filipa. W spojrzeniu jej malowało się przerażenie; zachowaniem Brama była widocznie silnie zaniepokojona. Nagle, nic nie mówiąc, przeszła szybko do swego pokoiku. Upłynęła jedna minuta. Bram pozornie nie zwracał wcale uwagi na Filipa, mruczał tylko coś pod nosem.

Z pokoiku wyszła Celia; skierowała się prosto do Brama. W wyciągniętej ku niemu dłoni trzymała pukiel swych złocistych włosów.

Bram przestał natychmiast mruczeć. Twarz rozjaśniła mu się jakimś bezgranicznym zachwytem. Grubą, niekształtną rękę wyciągnął ku złotym włosom, które widocznie były dla niego jakimś bezcennym talizmanem.

Celia uśmiechnęła się leciutko. Może właśnie dzięki temu talizmanowi — pomyślał Filip — ów potwór, ten człowiek-wilk, otaczał ją takim szacunkiem i czcią od pierwszej chwili, od momentu gdy dostał ją w swoje ręce. Ale

przecież ona była zupełnie w jego mocy! Ileż razy mógł zrobić z nią wszystko, co tylko mu się podobało! A może naprawdę nie zdawał sobie z tego sprawy, jaki skarb ma w rękach?

Człowiek-wilk, z miną zadowoloną, począł znowu coś mrużyć, ale już inaczej, łagodnym i niemal pokornym tonem. Usiadł na podłodze pod ścianą ze skrzyżowanymi nogami. Rozdzielił pukiel włosów na trzy części i zaczął splatać z nich nowe sidła... Celia, uspokojona już zupełnie, wróciła do swego pokoiku. Czowała potrzebę samotności, chciała odetchnąć swobodnie po tych wszystkich gwałtownych przejściach.

Filip, korzystając z jej nieobecności, otworzył swój plecak i wydobył z niego przybory toaletowe. Przyjrzał się w lusterku i przeląkł się sam siebie. Z nieogoloną brodą, brudny, nieuczesany, wyglądał tak odstrasząco, że rozumiał dopiero teraz, czemu Celia w pierwszej chwili na jego widok cofnęła się. Potrzebował pół godziny czasu, aby ogolić się należycie. Co się zaś tyczy Brama, to człowiek-wilk tak zajęty był splataniem swej sieci, że tak długo nie

odrywał oczu od roboty, aż siatka była gotowa. Wstał wówczas i wyszedł z izby, nie mówiąc ani słowa.

Celia wróciła do pierwszego pokoju. Natychmiast zauważyła zmieniony wygląd Filipa, co sprawiło jej widoczną przyjemność. Filip zarumienił się mimo woli.

Podeszli do okna i obserwowali Brama. Człowiek-wilk zwołał całą swą horde i szedł z nią do furtki. W ręku trzymał narty i batog. Otworzył furtkę, wyszedł i wypuścił za sobą dziesięć wilków. Potem furtkę zamknął.

Celia podeszła do stołu. Filip zauważył, że ze swego pokoiku przyniosła ołówek i kawałek papieru. Usiadła obok stołu i po chwili podała Filipowi z miną triumfującą kartkę papieru, na której wyrysowany był dość niezgrabnie łeb karibu. Miało to oznaczać, że Bram wybrał się na polowanie. Filip roześmiał się, bo oto znaleźli nowy sposób porozumiewania się za pomocą rysunków.

Równocześnie jednak uświadomił sobie co innego, coś co wcale nie było pocieszające. Oto

Bram, wyruszając na łowy, pozostawił w zagrodzie połowę swej hordy — dziesięć wilków. Nie, nie można się już było łudzić! Ów niebezpieczny szaleniec traktował ich oboje nie jak swoich gości, lecz jak więźniów.

ROZDZIAŁ XII. GROŹNA NIESPODZIANKA

Noc minęła spokojnie, bez najmniejszego wypadku. Była to pierwsza noc, spędzona przez Filipa w chacie Brama, w towarzystwie Celi. Pierwsza i ostatnia.

Nazajutrz rano, zanim jeszcze Celia wyszła ze swego pokoiku, Filip studiował kolejno w pamięci wszystkie wypadki ostatnich dni. Przede wszystkim, zastanawiał się, czy Bram naprawdę był wariatem? Czy też tylko udawał wariata? Jeśli Bram rzeczywiście go nienawidził, może przez długi czas tać się ze swym uczuciem, aż nagle, przy lada sposobności wybuchnie. Filip pamiętał, co kiedyś powiedział mu jeden z jego znajomych: „Wariat ma znakomitą pamięć.

Skoro raz uczepi się jakiejś myśli, nie zapomni o tym nigdy; zżyje się z nią do tego stopnia, że stanowić ona będzie po prostu część jego duszy. Nienawiść do urojonego wroga kiełkuje w jego zamroczonym umyśle, by prędzej czy później wybuchnąć z jeszcze większą mocą”.

Raz już omal Bram nie zabił go. Był to, gdy odebrał mu wszystkie zapasy żywności, aż do ostatniej okruszyny. Obecnie wybrał się na polowanie, pozostawiając swym więźniom żywność. W każdym razie jedno wydawało się Filipowi pewne, Bram na pewno nie kochał Celi. Gdyby bowiem ją kochał, na pewno nie pozostawiłby jej samej w towarzystwie Filipa, ewentualnego przecież rywala. Bram traktował Celię z całym szacunkiem; a we wzroku jego malowała się jakaś pokorna, bezgraniczna adoracja tej młodej dziewczyny.

Mimo wszystko jednak Filip ostatecznie doszedł do wniosku, że należy przy najbliższej sposobności zabić po prostu Brama, tak jak zabija się dzikie zwierzę, choćby się to Celi nawet

nie podobało. Już i tak stracił kilka dogodnych okazji.

Kiedy Celia weszła do izby, zdawało mu się, że zgaduje jego myśli. Nie zdradzając się jednak z niczym, zabrał się w jej obecności do dokładnego, systematycznego zrewidowania całej izby, służącej Bramowi za mieszkanie.

Jestem pewny — monologował głośno — żeś ty to już zrobiła dawno przede mną. Ale taka rewizja jest moim obowiązkiem. Kto wie, może uda mi się odkryć coś, czego ty nie zauważyłaś, a co nam się może bardzo przydać.

W towarzystwie Celi zabrał się więc do skrupulatnej rewizji całej izby. Zaglądał nawet pod podłogę, uchylając niezbyt szczelnie przylegające deski. Poszukiwania te trwały już pół godziny, ale bez widocznego rezultatu. Nagle wydał okrzyk radości. Oto pod jakimś brudnym, zatłuszczonym kocem odkrył schowany rewolwer służbowy. Niestety, rewolwer nie był nabity, a naboju nigdzie nie było.

Należało jeszcze przeszukać małą przylegającą komórkę, w której Bram zwykle spał. Nie

znalazł i w niej nic więcej, prócz trzech sideł, splecionych z włosów Celii.

Spoglądał na nie przez chwilę ze wzruszeniem, a potem przykrył je z powrotem skórami niedźwiedzi, mówiąc:

— Nie trzeba ich ruszać... Byłoby niedelikatnością gospodarować w łóżku obcego człowieka...

Po chwili mówił dalej:

— Nie znajduję nawet owego noża, którym Bram zwykle kroi mięso. Ciekawe, czy był tak samo ostrożny i przewidujący, kiedy byłaś tu jeszcze sama jedna. W każdym razie nie znajduję nigdzie żadnej broni ani nic podobnego.

Zza ścian chatki doleciało uszu Filipa głośne ujadanie wilków. Podszedł do okna. Dwa wilki gryzły się ze sobą. Nie ma co mówić, Bram zostawił ich oboje pod doskonałą strażą tych bestii. Gdyby mu się nawet udało zabić Brama, lub unieszkodliwić go, jakim sposobem da sobie z nimi radę? Jeżeli Bram wejdzie do izby ze swą strzelbą, wszystko dałoby się zrobić. Wy-

strzela je kolejno co do nogi. Tylko pytanie, czy Bram w ogóle przyniesie tu kiedykolwiek strzelbę?

Oba wilki gryzły się dalej. Reszta otoczyła je półkolem. Jeden tylko, olbrzymi, nie zwracając uwagi na nic, legł w kącie, obgryzając dużą kość, z której odrywał ostatnie strzępy mięsa. Słychać było groźne kłapanie jego potężnych szczęk.

— Wiem już! — zawołał Filip. — Wilki przecież, tak samo jak ludzie, muszą dostawać jedzenie, konieczne do życia. Skoro już załatwię się z Bramem, pozostawię je w tej zagrodzie tak długo, aż pozdychają z głodu. Wymagać to będzie tygodnia, może i więcej. Kwestia cierpliwości tylko. Ale my będziemy mieć ostatnie słowo! Trzeba, aby Celia to nareszcie zrozumiała: przede wszystkim musimy pozbyć się Brama.

Celia właśnie go zawołała. Odszedł od okna i wrócił do niej. Celia wydawała się mocno wzruszona. Na stole rozłożyła kilka kartek papieru, które wyniosła ze swej izdebki. Na każdej kart-

ce widniał jakiś nieudolny rysunek, nakreślony jej ręką. Nietrudno było domyślić się Filipowi, że Celia za pomocą tych rysunków chce mu objaśnić to wszystko, czego sobie wzajemnie słowami wypowiedzieć nie mogli.

Kołysząc lekko swym smukłym dałem, szepnęła cicho: „Filip”. A jemu zrobiło się dziwnie miło, słysząc, że woła go po imieniu, tak jakby to było rzeczą naturalną.

Nachylił się nad leżącymi papierami. Pobrudzone i zniszczone, widocznie nieraz już były w użyciu. Rysunki te przedstawiały całą historię młodej dziewczyny.

— Domyślam się — mówił Filip — że sama to wszystko rysowałaś, by pokazać Bramowi. I on niewiele więcej wie o tobie, aniżeli ja. Tak, tak... rozumiem już wszystko... Jakiś okręt, psy, ludzie... jakieś walki... Przyjrzyjmy się bliżej...

Celia spoglądała na niego z wyteżoną uwagą. Pragnęła, aby jak najprędzej ją zrozumiał.

Filip pochylony nad rysunkami dągnął dalej:

— Tu, na tym rysunku, w samym środku, jesteś ty, „pani”. Ty, z rozwichrzonymi włosami, bronisz się przed jakimiś ludźmi, którzy tak jakby chcieli cię zabić pałkami. Co to ma znaczyć, mocny Boże? A tu wysoko, w górze, jakiś statek. Od niego powinniśmy zacząć. Z pewnością wysiadłaś z tego statku, prawda..? Statek, statek, statek...

— *Skunnert* — zakrzyknęła łagodnie, pokazując palcem na ów wyrysowany statek. — *Skunnert... Siberien...*

— Szkuner... Syberia! — powtórzył Filip. — Tak się właściwie powinno wymawiać, moja Celio! Zajrzyjmy znów tutaj!

Wydobył z kieszeni ową małą mapkę kuli ziemskiej i rozłożył ją na stole.

— Weźmy się na nowo do roboty i to możliwie dokładnie.

Pochylili się oboje nad mapą. I znowu, jak wczoraj, zetknęły się ich ciała. Filip niemal dotykał ustami jej złocistych włosów. Zadrżeli oboje. Ale Celia opanowała się szybko. Odsuwając się nieco, zaczęła wodzić palcem po mapie.

Statek wypłynął z ujścia rzeki Leny na Syberii. Płynął następnie wzdłuż wybrzeży aż gdzieś w okolicy Alaski. W tym miejscu paluszek zatrzymał się bezradnie. Wymownym gestem dała mu do zrozumienia, że nie potrafi określić, w którym miejscu statek dobił do wybrzeży Ameryki Północnej.

Zaczęła pokazywać mu kolejno następne kartki, na których przedstawione były jakieś walki i utarczki, których właściwego znaczenia jednak Filip nie mógł zrozumieć. Wreszcie na zakończenie skreśliła jeszcze jeden rysunek, przedstawiający olbrzymiego człowieka, otoczonego bestiami. Miał to być Bram ze swymi wilkami. I teraz dopiero zrozumiał Filip, dlaczego tak broniła Brama, dlaczego nie pozwalała, by choć jeden włos spadł mu z głowy. Bram był jej wybawcą, on ją wyratował z tych wszystkich strasznych przejść, o których po części mówiły rysunki. On ją wtedy wyratował i zabrał ze sobą do swej kryjówki. Dlaczego ją tutaj trzymał w zamknięciu, tego z rysunków domyśleć się było niepodobieństwem.

Niejedno jeszcze wymagało wyjaśnienia. Po co i w jakim celu jechała Celia na Syberię? Kto skierował okręt ku niegościnnym wybrzeżom Alaski? Co to za jedni ci nieznani jej wrogowie, z rąk których Bram ją wyratował?

Filip wziął do ręki jeden z rysunków, który Celia przyniosła i odłożyła na bok. Na rysunku tym były dwie osoby: mężczyzna i ona. Mężczyzna ów trzymał ją w swoich ramionach. Filip podniósł wolno głowę i spojrzał na Celię. W oczach jej lśniły łzy.

Nagle poczuł zimny ciężar na sercu. Od owej chwili, gdy oboje zetknęli się w tej samotnej chacie, gdy losy ich niezwykłym trafem splotły się razem, w sercu Filipa nastąpiły dziwne zmiany. Ogień miłości zapłonął mu w piersi. Upajał się słodką, rozkoszną nadzieją. I oto nagle nadzieja zgasła! Celia na pewno kocha innego!

Wstał i wolnym krokiem podszedł do okna, chcąc ukryć zmieszanie. Spojrzał przez okno i w tej samej niemal chwili zakrzyknął głośno.

Wypuścił z rąk ów rysunek, który zabrał ze sobą. Chwycił się kurczowo ramy okna.

— Patrz! — wołał jak nieprzytomny. — Patrzaj, na Boga!

Przez cały czas, kiedy siedzieli oboje przy stole, panowała niezmacona cisza. Nie słyszeli najlżejszego szmeru, ani hałasu. A oto co ujrzeli: ów ogromny wilk, co jeszcze niedawno obgryzał kości, leżał teraz na śniegu, wyciągnięty jak długi, był martwy. Zesztywniał już zupełnie. Z rozchylonego pyska błyskały białe, potężne kły, a poniżej łba widniała kałuża krwi.

Filip nie tyle przeraził się tą nagłą śmiercią wilka, ile widokiem broni, od której zwierzę zginęło. Wilk przeszyty był na wylot czymś w rodzaju lancy.

Poznał od razu ów harpun cienki i długi, ów straszliwy dziryt, jakim posługuje się tylko jeden jedyny szczep w całym Northlandzie: szczep Kogmolloków, zbójców o czarniawych twarzach, żyjących nad brzegami Zatoki Koronacyjnej i Ziemi Wollastona.

— Odsuń się od okna, Celio! — zakrzyknął z trwogą. I czym prędzej odprowadził ją w głąb izby.

ROZDZIAŁ XIII. KOGMOLLOKI

Kogmolloki! Te straszne, okrutne diabły, o sercu zimniejszym od tych lodów, wśród których żyją! Okrutne, nieubłagane!

— Daruj mi, Celio — mówił Filip — że krzyknąłem tak na ciebie i tak gwałtownie odciągnąłem od okna. Ale nawet na drugim końcu świata poznałbym tę straszną, śmiercionośną broń. Widziałem już nieraz, z jaką łatwością i pewnością rzucają dzirytem na odległość stu jardów. Potrafią walczyć jak prawdziwe diabły. Specjalnością ich jest polowanie na białe kobiety. A coś mi mówi, że oni przyczaili się gdzieś w pobliżu i obserwują nasze okno.

Celia nie rozumiała wprawdzie tego, co do niej mówił, ale wydawała się nie mniej przerażona od Filipa widokiem owego zabitego wilka, przeszytego dzirytem. Podeszła szybko do

stołu, pochwyciła jedną z kartek i podała ją Filipowi. Na kartce narysowana była scena jakiejś walki.

— W takim razie — mówił drżącym głosem — oni właśnie ciebie poszukują. Musieli się specjalnie uwziąć na ciebie, skoro aż tutaj się zjawili. Nie słyszałem nigdy, aby ośmielili się zapuszczać tak daleko na południe.

Celia odzyskała już panowanie nad sobą, w jej wzroku malowało się zdecydowanie i odwaga oraz zupełna ufność, że Filip stanie również odważnie w jej obronie. Spodobało się to Filipowi. I on nabrał od razu otuchy.

Nie odwracając się od okna, zaczął mówić przygotowany na to, że lada chwila wpadnie przez nie z brzękiem tłuczonych szyb dziryt.

— Nie ma co, wpadliśmy w ładne tarapaty! Mogę to głośno powiedzieć, nie przerażę cię, bo i tak mnie nie rozumiesz. Uważasz, Celio, są rozmaici Eskimosi. Są między nimi ludzie poczciwi i porządni. Ale plemię Kogmoloków to skończone łotry i bandyci. Gorsci nawet od dzikich czerwonoskórych z wysp Fi-

lipińskich; nikt im nie dorówna w nastawianiu pułapek i zasadzek. Założyłbym się też, że Bram nie wróci już żywy z owego polowania, na które się wybrał. Może już w tej chwili leży gdzieś przeszyty ich dzirytem.

Celia uśmiechała się, słuchając tej przemowy. Zrobiła ruch, jakby chciała podejść do okna. Zatrzymał ją, i niemal w tej samej chwili od strony zagrody rozległo się przeraźliwe wycie wilków. Wymownym gestem poprosił ją, by usiadła przy stole, a sam podszedł do okna.

Wilki zbiły się w jedną kupę koło furtki. Co chwila któryś z nich z wściekłym wyciem podskakiwał w górę, rzucając się na grube pale świerkowe, z których zrobione było całe ogrodzenie. W połowie drogi do chaty leżał na śniegu drugi wilk, też martwy. Niewątpliwie Eskimosi schwytali gdzieś Brama w zasadzkę, i byli pewni, że młode dziewczę jest samo w chacie. Ponieważ czuli lęk przed wilkami, postanowili przede wszystkim powybijać je po kolei za pomocą dzirytów.

W pewnej chwili Filip spostrzegł wychylającą się znad ogrodzenia głowę i ramiona. Równocześnie, niby błyskawica, błysnął dziryt, rzucony w grupę wilków. Głowa zniknęła równie błyskawicznie, jak się ukazała.

Filip odwrócił głowę. Celia stała tuż przy nim, i była świadkiem całej sceny. Ujęła go mocno za ramię, tłumiąc krzyk przerażenia, jaki wyrwał się jej z piersi. Pobieгла do swego pokoiku i po chwili wróciła stamtąd, niosąc w ręku jakiś przedmiot, który podała Filipowi.

Był to miniaturowy rewolwer, prawdziwa zabaweczka, z której tylko śmiałyby się w innych okolicznościach. Rewolwer ten, kaliber 22, nabity był kulami tak maleńkimi, że ledwie można by z nich zabić wróbla na odległość piętnastu do dwudziestu kroków, o ile naturalnie wróbel prędzej nie uciekłby. Jednak mimo wszystko i taką bronią nie należało pogardzać. Narobi przynajmniej huk, a jeżeli kula nawet nie dosięgnie Eskimosa, on, słysząc wystrzał, przewróci się choćby ze strachu. Wystarczy strzelić parę razy i pokazać się Eski-

mosom, aby widzieli, że Celia nie jest sama w chacie, że ma obrońcę i to nawet uzbrojonego w broń palną.

Dlatego też Filip podziękował w głębi duszy Bogu za tę pomoc, zesłaną mu niespodziewanie. Trzeci dzirynt przeszył na wylot trzeciego wilka. Zwierzę, śmiertelnie ranne, wlokło się z wysiłkiem po śniegu. Pozostałe siedem wilków w szalonych susach rzuciło się z furią na pale ogrodzenia.

Filip podszedł po cichu do drzwi, uchylił je nieznacznie i stanął na czatach. Celia przystanęła obok niego, jakby domyślając się, o co mu chodzi. W pewnej chwili trąciła go lekko w ramię. Oto ponad palisadą, ostrożnie, po mału, wychylała się jakaś czarniawa twarz.

Szybki jak piorun Filip wypadł zza drzwi, wydając przeraźliwy i donośny okrzyk wojenny. W chwili, gdy zabłysnął dzirynt, Filip wypalił z rewolweru. Głowa i ramię zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ale równocześnie też i wściekłe wilki rzuciły się w stro-

nę Filipa. Jednym susem dopadł drzwi i zamknął je za sobą.

— Nie ma co mówić, dostaliśmy się w ładną kabałę — mówił ze śmiechem do Celi, podczas gdy wilki dobijały się do zamkniętych drzwi.

Objął ją w pół ramieniem i ciągnął dalej:

— Jaka szkoda, że ci drunie nie wiedzą o tym, iż nam zależy tak samo, jak im, na unieszkodliwieniu Brama! Gdyby tak oni chcieli nam pomóc w walce z tym naszym wspólnym wrogiem — to dopiero by było przedstawienie! Wiedziałas, jak ów czarny jegomość zmykał z palisady? Jestem pewny, że go nie trafiłem. I daj Boże, aby tak było rzeczywiście! Bo gdyby te łapserdaki przekonały się, że moje kulki są za ledwie wielkości ziarnka grochu, a rany od nich nie bardziej bolesne niż ukąszenia owada, obsiedliby wszyscy palisadę, niby stado wron i kpiłoby sobie z nas w żywe oczy. Słyszałaś, jakiego huku narobiłem, prawda?

Pod wpływem zagrażającego im obojgu niebezpieczeństwa, Celia nie zwracała uwagi na to, że Filip obejmował jej kibić coraz silniej-

szym i gorętszym uściskiem, podniecony zarówno czekającą go walką, jak i wzbierającą w sercu miłością.

— Chwila jest poważna — zaczął mówić głosem tak zmienionym, że Celia na pewno przestraszyłaby się, gdyby rozumiała, co on mówi. — Co się z nami stanie? Jeżeli Bram już nie żyje, te czarne diabły z małpią gębą wystrzelają wszystkie wilki, a potem wyłamią furtkę i przypuszczą szturm na chatę. Czuję się na siłach, by stoczyć z nimi walkę, choćby było ich nawet dwudziestu. Miłość, jaką czuję do ciebie, podawają mi siły. Ale zanim do tego dojdzie, chciałbym jedno wiedzieć: kim jest ów mężczyzna, tu, na tym rysunku? W tych ostatnich minutach, jakie dzielą nas od walnej rozprawy z tymi diabłami, mam szaloną ochotę przycisnąć cię do mego serca, obsypać pocałunkami, abyś jeszcze wiedziała, jakie uczucia żywię do ciebie. Kocham cię całą, od stóp do głowy. Tylko lękam się, czy nie zanadto wcześnie się z tym wybrałem... czy nie będziesz mną pogardzać...?

Otrząsnął się, odsunął się od Celi i ujął w ręce ów rysunek, który niedawno wziął ze złością i rzucił na stół. Rozwinął go i wygładził starannie.

— Co to może być za człowiek? Jeżeli go nie kochasz, czemuż obejmujesz go tak czule i serdecznie?

Celia z tonu głosu i ze wzroku Filipa domyśliła się, że chce ją o coś pytać. Z ogromnym wysiłkiem starała się odgadnąć, o co mu chodzi. W zachowaniu Filipa przebijało się jakieś zażenowanie, którego dotąd nigdy nie zauważyła. Podał jej ów rysunek. Może, myślał sobie, Celia wrodzoną intuicją odgadnie, co go dręczy. Wpatrywał się w nią uważnie. Celia patrzyła długą chwilę na ów rysunek: wreszcie podniosła ku niemu oczy, rozjaśnione jakimś dziwnie czystym i pogodnym blaskiem. Odgadła.

— *Min fader* — rzekła spokojnym głosem, wskazując paluszką na rysunek owego mężczyzny. — *Min fader*.

Zdawało mu się, że mówi po angielsku.

— *Your father*¹²? — krzyknął niemal.

Skinęła potakująco głową:

— *O o-ee min fader...* — powtórzyła.

Odetchnął z ulgą:

— Chwała Panu Bogu! — zawołał.

I natychmiast dodał wesoło:

— Dużo tam mamy jeszcze naboii? Paf! paf! paf! Mam taki humor, że tym małym rewolwerkiem gotów jestem wystrzelać cały świat!

ROZDZIAŁ XIV. ZAWIEJA ŚNIEŻ- NA

Filip nie posiadał się z radości. Zapomniał od razu o Bramie, o wilkach, o Eskimosach. Zapomniał, w jak rozpaczliwej sytuacji znajdują się oboje. „Jej ojciec”! Chciałby krzyczeć z radości, skakać i tańczyć dookoła izby, unosząc Celię w ramionach.

Ale należało się pohamować. Lękał się, by w tych fiołkowych oczach nie dostrzec niemego wyrzutu, by jej nie urazić zbyt obcesowym

¹²*your father* (ang.) — twój ojciec. [przypis edytorski]

zachowaniem się. I tak już omal nie zdradził się, kiedy mu oświadczyła, że ów mężczyzna na rysunku to jej ojciec. W spojrzeniu jej odmalowało się zdziwienie. Niewątpliwie odgadła właściwy powód wzruszenia i tej nagłej radości Filipa. Prawdziwą, a niewymowną rozkosz sprawiała mu myśl, że mężczyzna i kobieta, choćby każde z nich pochodziło z przeciwnego końca świata, choćby nie potrafili porozumieć się ze sobą w żadnym języku, mimo wszystko mogą się pokochać, a serca ich bić będą w zgodnym rytmie.

I wówczas, nie wiedząc, co mówi, skierował od razu rozmowę na rewolwer i naboje.

Celia objaśniała mu na migi, że nie ma zapasowych naboji. Całym ich skarbem były tylko te cztery kulki, tkwiące jeszcze w rewolwerze, choć w razie napadu Eskimosów porządny kij bardziej mu się przyda, niż to małe cacko. Postanowił wyszukać od razu jakąś tęgą pałkę, lepszą i poręczniejszą od owych polan leżących pod piecem. Wreszcie zdecydował się oderwać ze ściany cienki pień świerkowy, przy-

bity tam w celu wzmocnienia wiązania. Pień okrągły i gładko ciosany mierzył około czterech stóp długości. Gruby u nasady, zwężał się stopniowo ku końcowi.

Filip uchwycił ową zaimprovizowaną pałkę za cieńszy koniec i zrobił nią kilka młynków w powietrzu.

— No, teraz mamy broń i możemy ich godnie przyjąć. Nie uda im się wypędzić nas z chaty, chyba że podłożą ogień. A co się tyczy tych drzwi, oto zapewniam cię, Celio, że żaden z nich nie przejdzie przez nie żywy!

Wyglądał tak wojowniczo, z takim zapałem wymachiwał swą pałką, że Celia widząc to, nie mogła się powstrzymać od łagodnego uśmiechu. FiHp zaprzestał wówczas wywijania młynków i rzucając pałkę, podszedł do niej:

— No, Celio — mówił — uściśnijmy sobie ręce. Jesteśmy przecież dobrymi przyjaciółmi, nieprawdaż?

Bez najmniejszego wahania wyciągnęła rękę ku podanej jej dłoni. I chociaż śmierć czaiła się ku nim z ukrycia, uśmiechnęli się do siebie.

Potem Celia przeszła do swego pokoiku i przez pół godziny nie pokazywała się.

Rzucił okiem na zagrodę i wilki. Wilki wydawały się jakieś spokojniejsze, rozproszyły się po całym podwórzu. Wywnioskował z tego, że Eskimosi widocznie musieli się oddalić. Dopiero teraz uświadomił sobie, że owe bestie, których chciał się koniecznie pozbyć, były dla nich najpewniejszą obroną. Zostało ich jeszcze siedem i na pewno dadzą mu znać o zbliżaniu się Eskimosów.

Nieprzyjaciel na początek zjawił się z pewnością w małej liczbie. Może trzech lub czterech ludzi, którzy przybyli tu raczej na zwiady.

Jeżeli rzeczywiście Bram wpadł w zasadzkę i leży obecnie martwy, przeszyty dziirytem, Kogmolloki pewni byli, że wystarczy paru ludzi, by napaść na Celię, pozbawioną wszelkiej opieki i obrony, i uprowadzić ją w triumfie. Tymczasem przekonali się, że mają do czynienia nie tylko z wilkami, ale i z jakimś obcym mężczyzną, i to w dodatku uzbrojonym. Wrócili zapewne po posiłki. W tym stanie rzeczy

najrozsądniej byłoby uciekać natychmiast. Tak, ale na drodze do wolności stało siedem dzikich bestii.

Ściemniło się zupełnie; niebo zakryły ciężkie, czarne chmury nisko nad ziemią. Nadciągała śnieżyca. Eskimosi przewidywali ją wcześniej i z tym zapewne liczyli się. Nie lękali się ewentualnej pogoni, bo wicher i śnieg zatrze szybko ślady po nich.

Nie była to pierwsza zbrodnia, jaką ci barbarzyńcy Północy mieli na sumieniu. Oto w zeszłym roku na wybrzeżach Oceanu Lodowatego zamordowali oni kilkunastu białych, między nimi jednego misjonarza i dwóch amerykańskich podróżników. Trzy patrole policyjne wyruszyły w sierpniu w pogoń za zbrodniarzami, kierując się w stronę Zatoki Koronacyjnej i Kanału Bathursta.

Jeden z tych patroli, prowadzony przez Olafa Andersona, Szweda z pochodzenia, dotychczas jeszcze nie wrócił. Kiedy Filip wyruszał z fortu Churchilla w pustkowia Barrenu, rozeszły się pogłoski, że Olaf zginął razem ze swy-

mi pięcioma ludźmi. Nic dziwnego zatem, że te straszne dzikusy ośmieliły się napaść również na ojca Celi Armin i ludzi, którzy z nim razem wylądowali. Mord i rabunek był ich żywiołem, a rozlewanie krwi białych ludzi sprawiało im rozkosz. Ale że odważyli się zapuścić tak głęboko na południe w zupełnie obce im strony, dotąd przez nich omijane, wydawało się to Filipowi bardzo dziwne i coraz mniej zrozumiałe.

Rozmyślania te przerwała mu nadciągająca zawieja śnieżna. Burza szła od północnego wschodu. Niebo zasnuło się niby czarną, żałobną płachtą, która całkowicie stłumiła światło dzienne. Cisza była przygniatająca; nie drgnęła ani jedna gałązka świerków, rosnących wokoło zagrody. Filip postanowił przywołać Celię, by razem z nim obserwowała to potężne zjawisko przyrody. W półmroku można było zaledwie dostrzec szare sylwetki przemykających wilków.

Pogrążony w myślach nie słyszał, jak Celia wyszła ze swego pokoiku i zbliżyła się do niego.

Zauważył ją dopiero wówczas, gdy stanęła tuż przy nim.

Ten straszny potop ciemności, zalewający cały widnokrąg, zbliżał ich oboje do siebie. Nic nie mówiąc, Filip ujął Celię za rękę i zatrzymał tę jej drobną ciepłą dłoń w swojej dłoni.

Wśród ogromnej ciszy usłyszeli najpierw jakieś głucho szmery, przytłumione, dalekie. Szmery te jakby skradały się, podchodziły coraz bliżej, gdzieś z krańców świata poczęte, aż nappełniły całą ziemię i niebiosa. Była to ni-
by jakaś żalosna, przeciągła, rozpaczliwa skar-
ga. Jeszcze nie ucichła, kiedy pierwszy powiew wiatru przeleciał ponad chatką.

Ach, te zawieje śnieżne Barrenu! Nigdzie, na całym świecie nie spotkasz czegoś podobnego. Nigdzie burze nie wyją podobnymi głosami, przypominającymi do złudzenia głosy ludzkie.

Filip nasłuchiwał się ich już nieraz. Słyszał już te przenikliwe jęki i kwilenia podobne do płaczu tysięcy małych dzieci. Słyszał w ciemnościach burzy opętańcze chichoty i ryki sza-

leńców, krzyki niewidzialnych ludzi, rozpaczliwe szlochanie kobiet. Niejeden człowiek oszalał od tego. Podczas długiej nocy zimowej, kiedy słońce znika na przeciąg pięciu miesięcy, nawet Eskimosi tracą rozum i pod wpływem takich burz śnieżnych mordują się wzajemnie.

Burza z wichrem szalała pod samotną chatką. Zrobiło się tak ciemno, że Filip nie widział nic więcej, prócz bladej twarzy młodego dziewczęcia. Ale czuł dobrze drzenie jej ciała, gdy tuliła się do niego. I zdawało mu się, że znają się oboje nie od dzisiaj, lecz już od dawna, od bardzo dawna, że należą do siebie ciałem i duszą już od wielu, wielu miesięcy.

Rozchylił ramiona. Celia rzuciła się w nie, wyczerpana i załamana zupełnie. Przytulił ją do siebie... mocno... jeszcze mocniej, szepcząc:

— Niczego się nie lękam... Nic nas nie zmoże... nic... nic... nic...

Wszystko mieściło się w tych kilku prostych słowach. Powtórzył je kilkakrotnie, przyciskając Celię do piersi, aż uczuł na swym sercu bicie jej serca.

Obróciła ku niemu głowę i nagle Filip poczuł na swych ustach dotknięcie jej gorących warg. Zamarli oboje w długim, mocnym pocałunku; Celia nie broniła się, nie próbowała nawet odsunąć się od niego.

— Nic nas nie zmoże, ukochana... nic... nic... — powtarzał Filip, szlochając niemal z radości.

A kiedy to mówił, cała chatka zatrzęsła się w posadach od gwałtownego wichru, który niaby taranem uderzał o drzwi. Prawie natychmiast rozległ się jakiś ryk straszny, nieludzki, któremu zawtórowało przeciągle wycie wilków Brama Johnsona.

ROZDZIAŁ XV. POŻAR

W pierwszej chwili Filip i Celia byli pewni, że to człowiek-wilk, wróciwszy ze swej wyprawy, wydał ów groźny ryk pod drzwiami chaty. Ale nie, to burza ryczała.

Wicher przycichł, jakby już wyczerpany. Ciszsza nastąpiła taka, że Filip i Celia, słyszeli przy-

spieszono bicie swych serc. Potem Celia, widząc, że niepotrzebnie się przelękli, przytuliła się do Filipa i wybuchnęła śmiechem.

— Tak jest, to tylko burza — szepnął Filip uspokajająco. — Nigdy jeszcze nie słyszałem podobnego ryku. Nawet wilki zawyły z trwogi.. A i ty przestraszyłaś się porządnie. Wiesz co, zapalimy świeczki Brama, dobrze?

Poszli oboje, trzymając się za ręce, do miejsca, gdzie Bram przechowywał świeczki, sporządzone własnoręcznie z niedźwiedziego sadła. Celia wydobyła dwie świeczki i podała Filipowi. On je zapalił.

Migocące ich światełka odbijały się w oczach Celi, niby w zwierciadle. Patrząc na te błyszczące źrenice, spoglądające na niego tak wymownie, Filip miał ochotę porwać Celię w swe objęcia i uścisnąć ją znowu serdecznie. Ale Celia odwróciła się od niego i podeszła do stołu, gdzie postawiła obie świece. Filip wydobywał z kryjówki jedną świecę po drugiej, aż do ostatniej. Dwanaście światełek rozjaśniło ciemności w pokoju. Zbytek to był i lekkomyślność, ale

Filip był zdania, że należało choć w ten sposób udokumentować swą radość.

Czuł się szczęśliwy. Celia wiedziała już, że on ją kocha, nie mogła w to wątpić. A z oczu jej czytał, że ufa mu. Zadowolony był prawie, że ów straszny ryk wichury wyrwał ich w samą porę z tej ekstazy miłosnej, w jaką zapadli. Teraz może przynajmniej śmiało spojrzeć jej w oczy: nie nadużył zaufania, jakim go obdarzyła.

Tego długiego pocałunku, który złączył ich usta, Celia nie żałowała. Czytał to z jej oczu. Ale po lekkim drzeniu jej ciała, po rumieńcu, który okrasiał jej twarzyczkę, domyślił się, że i ona myślała o tym samym, co on.

Gruba, złocista kosa spłynęła falą na piersi; w migocącym blasku świeczek lśniły jej włosy, niby płynne złoto. Ujął je ostrożnie w dłonie i przycisnął do ust.

— Kocham cię — szeptał. — Kocham.

Stał tak przez chwilę z głową pochyloną, kryjąc twarz całą w tej złocistej kaskadzie. Celia nie broniła się. Drżącym trochę głosem coś

mówiła... Potem wzięła płaszcz Filipa, leżący na krześle, podeszła do okna i zasłoniła je płaszczem, wskazując palcem na płonące świece.

— Nie mamy się czego lękać — odezwał się Filip, potrząsając głową. — Póki burza szaleje, nie grozi nam żaden dziuryt... Eskimosi mają teraz coś ważniejszego na głowie, muszą myśleć o sobie.

Rzeczywiście, po krótkiej przerwie, burza z wichrem rozszalała się na nowo, wstrząsając wiązaniami chaty.

— Słuchaj! — zawołał Filip.

Nastawiła uszu, nie okazując najmniejszego lęku. Z oddali dolatywało ponure wycie wilków.

Filip wydobył z kieszeni swój mały atlas i otworzył go na mapie Kanady.

— Wyjaśnię ci — zwrócił się do Celi — skąd przychodzą tutaj te diabelskie wichury. Spójrz przede wszystkim, gdzie my się znajdujemy. Chatka nasza stoi w tym mniej więcej miejscu.

Ogarnął ramieniem cztery ściany chatki, by mogła go lepiej zrozumieć, a potem za pomocą ołówka Celi naznaczył na mapie mały czarny punkcik.

— Tutaj, to Barren — ciągnął dalej, wzdając ołówkiem po mapie. — tam dalej na górze, Ocean Lodowaty, a tu Zatoka Hudsona. Stamtąd przylatują w tę stronę wichury i burze, aż dojdą do Barrenu, gdzie na przestrzeni pięciuset mil hulają swobodnie, nie mając się na czym zatrzymać.

Dalej mówił jej o prądach i wirach powietrznych, o tych chmurach zwisających nad ziemią tak nisko, że ludziom niemal tchu brakuje. Mimo najlepszych chęci Celia nic z tego wszystkiego nie mogła zrozumieć. Przyglądała się uważnie mapie, zwracając specjalnie uwagę na ten czarny punkcik, nakreślony przez Filipa, a mający przedstawiać chatkę.

Wiedziała już teraz, gdzie się znajdują; chciała się dokładniej zorientować, odszukać na mapie tę drogę, którą sama przebyła.

— Tu! Tu! — wykrzyknęła nagle, chwytając Filipa za ramię i przerywając jego wywody.

Wskazywała przy tym palcem na wyrysowaną na mapie krętą linię Miedzianej Rzeki (*Copper Mine*).

Kilka razy z rzędu powtórzyła: *Copper Mine*.

Filip skinął głową na znak, że ją rozumie.

Celia mówiła głosem głuchym, z coraz bardziej wzrastającym wzruszeniem. Mniej więcej w jednej trzeciej części górnego biegu rzeki nakreśliła na mapie krzyżyk. W tym miejscu właśnie napadli ich Kogmolloki. Opowiadanie swoje objaśniła rysunkiem. Napastnicy, pobici i odparci, uciekli. Potem wrócili, wywiązała się nowa walka. Wtedy to zjawił się Bram Johnson, wyratował ją i zabrał ze sobą. Ale ojciec jej pozostał tam, w miejscu naznaczonym przez nią ołówkiem.

— *Father! Father!* — powtarzała uporczywie. Chciała, aby Filip przede wszystkim to zrozumiał. Jej ojciec jest tam! Ojciec żyje! Muszą oboje iść tam, ratować go.

Filip domyślił się, o co jej chodzi. Ale w głębi duszy przekonany był, że jej biedny ojciec już dawno zginął. Te małe czarne diabły na pewno nie tylko go zabili, ale w dodatku poćwiartowali na kawałki, jak to zawsze robią, gdy uda im się schwytać nieprzyjaciela. Świeży przykład mieli na Olafie Andersonie i jego towarzyszach. Było ich sześciu — ludzie odważni, dzielni, uzbrojeni, a jednak ulegli. Jak ojciec Celi potrafił się uratować?

Zupełnie nie w porę wybrała się Celia z tym projektem, aby zawrócić z drogi i puścić się znów na północ, aż do Miedzianej Rzeki. Jeżeli im się nawet uda uciec z chatki przed powrotem Eskimosów, muszą dla ocalenia własnego życia uciekać czym prędzej na południe, aby dostać się do chatki Piotra Breault. A zapuszczać się w głąb Barrenu na północ, bez broni, bez psów i sanek, to oznaczałoby samobójstwo.

Trudno mu jednak było wyjaśnić to Celi i przemówić jej do rozumu. A jeszcze boleśniej było mu odbierać jej otuchę i nadzieję. Przecież

wierzyła święcie, że ojciec jej żyje jeszcze. Filip milczał zmieszany, nie wiedząc, co począć.

Z pomocą ołówka i papieru Celia dała mu do zrozumienia, że jej ojciec, Paweł Armin, znajdował się w towarzystwie jeszcze dwóch białych ludzi.

Czas mijał. Burza szalała bez przerwy — ciemność zupełna zaległa wokoło. Filip spojrzął na zegarek: była godzina siódma wieczór. Podprowadził Celię do jej pokoiku i wymownymi gestami nakłonił ją, by poszła się położyć i przespać.

Po upływie godziny podszedł cichutko do cienkiej ściany i nasłuchiwał. Nie słyszał żadnego szmeru: Celia już widocznie zasnęła. Nasunął czapkę na oczy, owinął się szczelnie płaszczem i ujął w rękę ową zaimprovizowaną świerkową pałkę. Po czym, wykonując swój śmiały plan, ułożony poprzednio, podszedł do drzwi, otworzył je, wyszedł spieszenie i zamknął za sobą.

Wicher uderzył mu w twarz z całą siłą. Ale nie zląkł się, owszem, ucieszył się nawet z tego.

Z pewnością wilki kula się gdzieś pod ścianą zbite w kupę. Przy tej wichurze nie zwęszą go, nie dosłyszą jego kroków.

Stał jeszcze chwilę, ściskając nerwowo pałkę w dłoni. Nic się nie ruszało. Postąpił jeden krok, potem drugi. Szedł ostrożnie, powoli, wymachując pałką, gotów w każdej chwili uderzyć, gdyby przypadkowo natknął się na wilki. Spokojny był i opanowany zupełnie, jakby szedł w cichą, gwiaździstą noc.

Doszedł wkrótce do palisady, otaczającej cały domek. Posuwając się dalej po omacku — natrafił na furtkę. Odetchnął z pewną ulgą. Po chwili furtka już była otwarta na oścież. Aby się sama nie zamknęła, przymocował ją za pomocą grubego polana, które zabrał ze sobą z izby. Następnie wrócił do chaty, orientując się według światełka świecy, którą pozostawił płonąca w pobliżu okna.

Kiedy wszedł do izby, po odbyciu tej ryzykownej wyprawy, ujrzał Celię. Stała, odziana w szlafroczek, z rękami założonymi na piersi.

Czekała na niego, a w jej oczach malował się śmiertelny niepokój.

Wskazał ręką na palisadę, zrobił gest, ilustrujący otwieranie furtki i na migi wyjaśnił jej wszystko.

— Jutro rano — wołał z triumfem — wilków już nie będzie. Uciekną wszystkie przez tę otwartą furtkę. — Mamy już wolną drogę przed sobą!

Zrozumiała go, bo rozjaśniły się jej oczy błyskiem radości. Oddawała mu się z całą ufnością, wszystko co on zrobi, będzie dobre. Bram, wilki, Eskimosi — wszystko to dla niej przestało istnieć. Ufa swemu wybawcy.

Filip odprowadził ją znów aż do progu jej pokoiku. Starał się panować nad sobą. Przystanęli na progu. Celia oparła mu rękę na ramieniu, szepcząc jakieś cichutkie, słodkie wyrazy. Podała mu usta do pocałunku, po czym szybko uciekła.

Filip czuwał jeszcze przez jakiś czas. Nie zwracał uwagi na szalejącą zawieruchę. Marzył o przyszłości... Późno już było, gdy postano-

wił położyć się spać. Nałożył drzewa do pieca, ile się tylko zmieściło, potem zgasił ostatnią świeczkę i nie rozbierając się, rzucił się na łóżko.

Leżał tak prawie przez godzinę, nie mogąc zasnąć. Tysiące myśli tłukło mu się po głowie, układał tysiące planów na przyszłość. Podczas, gdy burza waliła w okno nieustannie, a do komina wiatr sypał śniegiem, on wreszcie zasnął.

W pewnej chwili pod naporem żaru otworzyły się drzwiczki pieca i w ciemnej izbie zabłysnął cienki, ognisty język.

Filip spał nadal, snem niespokojnym, pełnym marzeń. W marzeniach tych zajmowała się stale Celia, już jako jego żona. Żyli oboje gdzieś w zupełnie innym kraju o łagodniejszym klimacie, z dala od śniegów i czarnych świerków Northlandu. Idą oboje przez kwiecistą łąkę, zbierając kwiaty. Nagle zrywa się burza. Uciekają, chronią się do jakiejś opuszczonej stodoły. Celia tuli się do niego, drżąc; on ją uspakaja, głaszcząc ręką jej złote włosy. Nagle błyska się i piorun uderza gdzieś w pobliżu. Potem śni

mu się, że gdzieś w polu, jesienią, pieką sobie kukurydzę. Filip, który zawsze miał bardzo delikatne powonienie, nie może znieść dymu. Kicha, kicha ustawicznie, a Celia śmieje się z niego do rozpuku. Ucieka przed tym duszącym dymem, wciąż kichając. Celia biegnie za nim, rozbawiona, zasłania mu twarz swoimi słodkimi rączkami. Ale dym ściga go uparcie. Filip wpada do mieszkania, do swej sypialni i nawet tam dym mu dokucza. Chowa głowę pod poduszkę, by nie czuć tego nieznośnego zapachu. Równocześnie zjawa Celi zniką. Filip na wpół nieprzytomny od dymu, kicha potężnie i budzi się.

Rzeczywiście cała izba wypełniona była ostrym gryzącym dymem, poprzez który widać było płomienne języki sunące ku powale. Jedna z desek powały zaczęła się już palić, słysząc było głucho trzeszczenie. Filip w jednej chwili oprzytomniał i zerwał się na równe nogi. Nie było już ani jednej minuty czasu do stracenia.

Na poły oślepiiony dymem i ogniem, pobiegł do pokoju Celi, która również już się

obudziła. Zanim zdążyła sobie zdać sprawę z tego co się dzieje, owinął ją całą grubą skórą niedźwiedzią i porwał na ręce. Chatka, zbudowana w całości z drzewa świerkowego, płonęła niby pudełko zapalek. Nawet dwudziestu ludzi nie zdołałoby już opanować ognia. Z drewnianych drzwi kapąła roztopiona żywica.

Filip dopadł drzwi, wymacał, otworzył je i wypadł na próg, ze swym ciężarem na ręku.

Przez otwarte drzwi wicher wtargnął swobodnie do wnętrza chatki, podniecając jeszcze pożar. Mały domek zmienił się w jeden ognisty słup, z którego buchały ku niebiosom płomień i dym. Filip uciekał, nie odwracając głowy. Minął drewnianą palisadę i zatrzymał się w lasku świerkowym.

A kiedy usłyszał żalosne skrzypienie konarów drzew, chłostanych wichurą, kiedy Celia ze szlochem zarzuciła mu ramię na szyję, opanowała go czarna, bezdenna rozpacz. W tym ogniu zginęło wszystko, co umożliwiało im życie wśród tego pustkowie: stracili dach nad głową, zapasy żywności, nawet ubranie.

Przytulii Celię mocniej do siebie i wśród ciemności nocy, chłostany wichrem ucałował jej usta i włosy. Machinalnie zaczął jej tłumaczyć, choć wiedział doskonale, że to kłamstwo, iż jest uratowana, iż nic złego jej się stać nie może.

— *All right*, moja maleńka! Jakoś się z tego wywinjemy! Jestem zupełnie pewny i spokojny.

ROZDZIAŁ XVI. STRASZNA NOC

Filip otrząsnął się szybko z przygnębienia i rozpaczy, jaka nim owładnęła. Przyklęknął obok dużego świerku i u jego stóp ułożył Celię, owijając ją troskliwie w skórę niedźwiedzia. Dziękował Bogu, że futro jest dość obszerne, takie, że mógł ją dokładnie całą owinąć. Natychmiast przyszło mu na myśl, że trzeba wracać do płonącej chatki i wyratować, co się jeszcze da. On sam nie ma przecież ani czapki, ani kurtki, a cóż dopiero mówić o Celii!

Wilków już nie potrzebował się lękać. Jeżeli nawet nie uciekły jeszcze do lasu, na pewno nie odważą się napaść na niego przy blasku pożaru, bo zwierzęta te ognia właśnie boją się najbardziej. Co zaś tyczy się Eskimosów, to może i wrócili, zwabieni łuną pożaru. Ale trudno, trzeba być i na to przygotowanym, to ostatecznie on sam właśnie ściągnął na Celię to nowe, okropne nieszczęście. On to mimo woli wywołał pożar, ładując do pieca za dużo drewna. Obowiązkiem jego jest naprawić, co jeszcze możliwe.

Pobiegł ku chacie, minął drewnianą palisadę. Ale dalej już iść nie mógł: od płonącej chaty bił taki żar, że aż mu zaschło w gardle, a na czoło wystąpiły grube krople potu. Stał bezradnie, zaciskając pięści. Wszystko przepadło na zawsze! I ta nędzna chałupka, w której niedawno zamknięty, oblegany przez wilki i Eskimosów, przeklinał swój los, wydawała mu się w tej chwili jakąś Ziemią Obiecaną. Poprzednio można jeszcze było myśleć o walce... podczas, gdy obecnie...

Nagle dotknął ręką obnażonej głowy. Wiatr ucichł i śnieg zaczął padać.

Filip wiedział dobrze, że ów śnieg jest zapowiedzią silnego mrozu. I tak już musiało być jakieś dwadzieścia stopni poniżej zera. Jeżeli wiatr zerwie się na nowo, za godzinę lub dwie, na pewno odmrozi sobie uszy. Równocześnie przypomniał sobie, że zapalki zostawił w lewej kieszeni swojej kurtki. Naturalnie spaliły się też dawno. Więc nawet nie będzie miał czym rozpalić ognia!

Bądź co bądź należało się natychmiast na coś zdecydować. Nie o niego samego tu szło, lecz i o Celię, która czeka na niego, owinięta w skórę niedźwiedzią, nie mogąc się ruszyć. Bez jego pomocy musiałyby umrzeć. On był obecnie panem jej życia i śmierci. Biedactwo, nie może nawet zrobić kroku, chyba że szła by boso po śniegu. Była mu w tej chwili czymś więcej, niż ukochaną kobietą: była mu niby małym dzieciątkiem, które trzeba nieść na rękę, chronić przed wichrem i mrozem, dopóki mu sił starczy. Będzie dla niej najtroskliwszą mat-

ką, aż do ostatniego tchu, aż do chwili, gdy oboje zginą z wycieńczenia... O ile jakiś cud ich nie wyratuje... Ona należy do niego... W jego ramionach znajdzie życie lub śmierć.

Zbudziła się w nim chęć do walki, do czynu. Wracając do Celi, przypomniał sobie ową pustą chatkę, koło której przejeżdżał w towarzystwie Brama. Tam było ich zbawienie! Chatka nie powinna być w odległości większej niż jakieś osiem do dziesięciu mil. Nie wątpił, że trafi do niej. Zaświtała mu nadzieja. Postanowił walczyć i zwyciężać.

Z daleka już usłyszał jej wołanie. W głosie Celi nie można było wyczuć strachu, lecz raczej radość, że znów widzi Filipa.

Położył jej palec na usta, dając w ten sposób do zrozumienia, że oboje powinni zachowywać się cicho. Należało przede wszystkim mieć się na baczności przed Eskimosami, którzy zapewne są gdzieś w pobliżu, bo i jakże się bronić w razie napadu? Zginęliby oboje, bez żadnej pomocy. Filip pochylił się ku Celi, owinął ją troskliwie w futro i wziął na ręce. Udało

się jej wysunąć jedną rączkę spod futra. Przytulila tę rączkę do twarzy Filipa i już jej nie cofnęła. Potem oboje bez słowa odwrócili głowy w stronę dopalającej się chatki.

Wiatr przycichł nieco. Od wschodu niebo rozjaśniło się lekko. Zbliżał się świt. Po chwili znów gęste chmury zasnuły niebo. Zaczął padać śnieg gęsty i miękki, zasypując wszelkie ślady. Była to dla nich okoliczność pomyślna, a utrudniająca pościg Eskimosom.

Filip szedł rażno naprzód, o ile mu na to pozwalała ciemność nocy i nierówność gruntu. Szedł przez las w kierunku wschodnim, nie czując prawie ciężaru, który niósł na rękę. W ten sposób uszedł milę, po czym przystanął dla odpoczynku.

Szepcząc kilka słów Celi do ucha, usadowił ją na wywróconym pniu drzewa, tworzącego rodzaj ławki. Skontrolował uważnie, czy jest cała otulona i zabezpieczona przed mrozem. Na szczęście wiatru nie było, mróz zatem nie dokuczał zbyt. Dotknął ręką jej gołych stóp. Celia drgnęła i zaczęła się śmiać. Stwier-

dził, że nóżki ma ciepłe, ale zanim ruszył ponownie w dalszą drogę, otulił je troskliwie.

Po trzykrotnym jeszcze zatrzymaniu, natknął się na gęsty lasek świerkowy. Rozłożyste, gęste konary ochraniały doskonale przed śniegiem. Nałamał trochę gałęzi, zrobił z nich gniazdko dla Celi i tam ją ułożył. Siedzieli cicho, oczekując nadejścia dnia i nasłuchując wszelkich odgłosów. Słyszeli żalosne wycie wilków, a potem dwukrotnie echo głosu ludzkiego. Ona także słyszała ów głos.

Czekali jeszcze przez pewien czas. Ponieważ jednak nic im bezpośrednio nie groziło, Filip, zostawiwszy Celię na swoim miejscu, podszedł ostrożnie aż na sam kraj lasu. Przy bladym świetle jutrzeńki stwierdził, że śnieg, który na szczęście padał bez przerwy, zasypał zupełnie ich ślady. Gdyby tu szło o białych lub Indian, Filip byłby zupełnie spokojny. Ale Eskimosi mają specjalnie wyrobiony zmysł orientacyjny, w odszukiwaniu śladów. Nie darmo przecież muszą przez pięć miesięcy w roku po-

lować na zwierzynę i odnajdować jej trop nie-
dostrzegalny dla kogokolwiek innego.

Jeżeli Kogmolloki, zwabieni ogniem, wró-
cili pod chatę Brama, z pewnością odkryli śla-
dy ich ucieczki i depczą im już po piętach. Jakiś
instynkt ostrzegał Filipa, że trzeba mu mieć się
na baczności, że wkrótce może rozegra się na-
stępny akt dramatu. Staął nogą na dużą ga-
łąź. Podniósł ją skwapliwie z ziemi. I taka broń
może się przydać.

ROZDZIAŁ XVII. PIERWSZE SPO- TKANIE

Filip przystanął, nastawiając bacznie ucha.

Całą płaszczyznę Barrenu zaległa obecnie
absolutna cisza, tak nadludzka prawie, jak ów
ryk i huk minionej niedawno burzy. Filip znał
już tę ciszę, która przychodziła nagle i przytła-
czała wszystko.

Wśród ogólnego spokoju każdy, najlżejszy
nawet szmer nabierał znaczenia: miękki sze-
lest spadających płatków śnieżnych, cichutki

trzask igieł opadających ze świerka, świst oddechu wydobywającego się z płuc, tłukące się niespokojnie serca. Zda się, tysiące oczu i uszu, czyhających ze wszystkich stron.

W miarę ustępującego mroku zaczęły wyraźniej rysować się sylwetki drzew i krzewów; widać było pędzące po niebie chmury.

Filip ukryty wśród niskich zarośli, myślał o Celii: zapewne niepokoi się biedaczka, że go tak długo nie widać. A jednak nie mógł się zdecydować jakoś na to, by opuścić swe stanowisko obserwacyjne i wrócić do niej. Miał nieomyślne przeczucie, że coś mu grozi, coś się zbliża.

Rozjaśniło się już na tyle, iż mógł dojrzeć w odległości pięćdziesięciu jardów każdy niemal przedmiot. Ale z tej strony, z której szedł, nic absolutnie nie było widać.

Gdyby jednak znalazł się tu przypadkiem Olaf Anderson, ów Szwed, byłby mu mógł opowiedzieć o podobnej nocy, przeżytej przez niego wśród strachu w podobnych okolicznościach. I on, podobnie jak Filip, miał się na baczności,

i on spodziewał się ataku, i przeliczył się w rachubach. Po niewczasie dopiero dowiedział się Anderson, że Eskimosi nigdy nie idą wprost za tropem ściganego zwierza czy za śladami człowieka. Ich zwyczajem jest okrążyć ściganego z lewej i z prawej strony małymi grupkami po kilku ludzi, nie pokazując się na oczy. Nie wiedział o tym Filip; toteż na próżno wyteżał wzrok. A instynkt ostrzegał go wyraźnie, że niebezpieczeństwo się zbliża.

I oto nagle posłyszał coś zupełnie nieokreślonego. Właściwie nie słyszał jeszcze nic, raczej wyczuł tylko czyjąś obecność. Jakieś nieuchwytnie drzenie atmosfery, zupełnie odmienne od wszelkich innych szmerów; wśród absolutnej ciszy drzenie to nabierało takiej mocy, jakby to był wystrzał rewolwerowy. A jednak Filip zupełnie nic nie widział! Droga, którą tu wracał, była pusta. Powoli odwrócił głowę.

W odległości dwunastu kroków stała jakaś zakapturzona postać, krępa, malutka, z błyszczącymi złowrogo oczami; postać przypominająca raczej jakiegoś fantastycznego gнома niż

człowieka. Równocześnie postać ta podniosła ramię i w szarym świetle poranka coś nagle błysnęło.

Wiedziony nieświadomym zupełnie instynktem Filip błyskawicznie przykucnął na śniegu, i w tej samej chwili przeleciał ze świstem dzi-ryt w tym samym miejscu, gdzie jeszcze przed ułamkiem sekundy znajdowała się głowa i ramiona Filipa.

Ów ułamek sekundy był tak minimalny, że Eskimos przekonany był, iż ugodził dzi-rytem swą ofiarę. Z piersi jego wyrwał się okrzyk triumfu, ów „sakotwow” Kogmolloków, chrapliwy „okrzyk krwi”, rozlegający się w odległości co najmniej mili.

Ale krzyk ów zamarł mu natychmiast w piersi. Filip zerwał się z ziemi, naprężając mięśnie, jak potężne sprężyny, zaświstała w powietrzu gruba pałka i zwała się na przerażonego Eskimosa. Pierwszy cios strzaskał mu od razu ramię. Drugie potężne uderzenie w głowę, a Eski-

mos już leżał na ziemi, rżąc głucho; jeszcze jeden cios i już było po wszystkim.

Filip walił tak potężnie, że aż zachwiał się na nogach. Nie zdążył jeszcze odzyskać równowagi, kiedy z cienia lasu wypadło nań dwóch napastników, wydając dzikie okrzyki. Filip nie miał nawet czasu zamachnąć się pałką. Skoczył jak wściekły na pierwszego z brzegu — jedną ręką uchwycił za już podniesiony do rzutu dziryt — drugą zaś uderzył Eskimosa w twarz z całą siłą. Za drugim ciosem jego żelaznej pięści Eskimos runął na ziemię; dziryt pozostał w ręku Filipa.

W tej samej chwili Filip poczuł na szyi czyjeś kosmate ręce. Ścisnęły go za gardło niby kleszcze, wydał krótki, urywany okrzyk grozy; głowa przechyliła mu się w tył i runął na ziemię.

Był to zwyczajny podstęp wojenny Eskimosów, prawie nigdy nie zawodzący — owo odwieczne „sasaki-wechikun”, czyli „uchwyt ofiarny”, od wieków przechodzący z ojca na syna.

Podczas gdy jeden Kogmollok przytrzymuje z tyłu bezbronną ofiarę, drugi przebija jej serce nożem.

Filip pozbawiony możliwości ruchu, słyszał krótką komendę Eskimososa, polecającego swemu towarzyszowi, by czym prędzej przybył z nożem i załatwił się z wrogiem. W odpowiedzi rozległ się głuchy pomruk.

W tejże chwili Filip poczuł maleńki rewolwer Celi w kieszeni za pasem. Wyciągnął go szybko i wykręcając w tył ramię, wypalił. To go ocaliło. Strzelił z tak bliska, że proch osmałił zupełnie i oślepił Kogmolloka, pochylonego nad nim. Zwolnił uścisk duszących go rąk i Filip zerwał się na równe nogi.

Ów trzeci Eskimos, z zakrwawioną od uderzeń twarzą, czołgał się tymczasem na czworakach ku Filipowi. Był już w odległości paru kroków. Filip dostrzegł swą pałkę leżącą opodal na śniegu. Schował rewolwer do kieszeni i chwycił pałkę. Jeden potężny cios i walka była skończona.

Wszystko to razem nie trwało nawet pięciu minut. Los okazał się tym razem łaskawy dla Filipa. Trzy czarne plamy widniały na śniegu. Oto wszystko, co pozostało po jego wrogach, z których dwóch przynajmniej już nie żyło.

Filip zadowolony ze świetnego zwycięstwa spoglądał na leżące na ziemi postacie. Nagle obrócił się, wydając okrzyk zdumienia. W odległości dziesięciu kroków od niego stała Celia.

Pchana jakąś niezmożoną siłą, przybiegła tu boso po śniegu, odziana tylko w lekki szlafroczek; skórę niedźwiedzia zostawiła pod drzewem, by jej nie zawadzała w chodzie. Wyciągnęła ku Filipowi gołe ramiona, wołając:

— Filip! Filip!

Podskoczył do niej. Coś go dusiło w krtani. Oto Celia przybiegła tu, w takim stroju, sądząc, że mu grozi jakieś niebezpieczeństwo. Czyż nie był to wymowny dowód, że i ona go kocha?

— Celio! Celio! — odparł, szlochając niemal z radości.

Pochwycił ją w swe krzepkie ramiona i pobiegł z nią do drzewa, gdzie leżało futro niedźwiedzie.

Niemal brutalnie okrył ją futrem, owinał szczelnie, aż się prawie dusiła. Oboje szlochali ze wzruszenia i radości.

Pochyleni ku sobie nastawili bacznie uszu.

Oto z oddali rozległ się straszny przeciągły „okrzyk krwi” Kogmoloków. Było to hasło, a zarazem pytanie, rzucone pod adresem owych trzech zakapturzonych napastników, z którymi Filip rozprawił się przed chwilą. Pytanie, żądające odpowiedzi.

Okrzyk zabrzmiał od strony zachodniej, z odległości niespełna mili. Odpowiedział mu drugi podobny okrzyk od strony wschodniej.

Filip przytulił swoją twarz do Celi, wargi szeptały słowa modlitwy, bo zdawał sobie sprawę, że walka dopiero się rozpoczęła.

ROZDZIAŁ XVIII. NA ŚCIEŻCE KRWI

Przede wszystkim Filip dał na migi Celi do zrozumienia, że należy wykorzystać cały łup zdobyty na ich trzech nieprzyjaciółach. Kazał jej tedy poczekać, a sam wrócił czym prędzej na pole niedawno stoczonej walki.

Wszyscy trzej Eskimosi już nie żyli. Dwóch zginęło od potężnych ciosów pałki. Trzeci miał na czole, w samym środku, tuż nad oczami, małą ranę od kuli. Filip niemal pieszczotliwie pogłaskał ów miniaturowy rewolwer, z którego tak się sam naśmiewał. Prawda, kulki niewiele większe były od ziarna grochu, ale takie oto właśnie ziarno grochu uratowało mu życie.

Najmniejszym z trzech Kogmolloków był ów pierwszy napastnik, którego Filip zatłukł pałką. Filip przyklęknął przy trupie, ściągnął mu z głowy kaptur sporządzony ze skóry foki, po czym zdjął zeń futro i zupełnie w dobrym

stanie mokasyny ze skóry karibu. Objuczony taką zdobyczą wrócił do Celi.

Rzeczy te, jakkolwiek ściągnięte ze zmarłego, zrobione były zupełnie prymitywnie, przedstawiały jednak wprost nieocenioną wartość. Nie pora była na przesadne skrupuły lub na elegancję. Na ich widok płomyk radości zalśnił w oczach Celi, bez wahania pochwyciła je, by się przebrać. Filip powrócił na pole walki.

Z drugiego Kogmolloka ściągnął kaptur i ubranie, i sam się w nie ubrał. Eskimosi nie mają właściwie żadnych kieszeni w swych ubraniach, miejsce kieszeni zastępuje im mała torebka ze skóry narwała, przyczepiona u pasa. Filip odłożył na bok wszystkie trzy takie torebki i zabrał się do szukania broni.

Znalazł dwa noże i sześć sztuk owych zabójczych dziryków. Jeden z noży znajdował się jeszcze w zaciśniętej dłoni owego Eskimosa, który czołgał się na czworakach, by go zamordować w momencie, gdy strzał z rewolweru Celi ocalił Filipowi życie. Wybrał dla siebie ten właśnie nóż, najdłuższy i najostrzejszy.

Przeglądając zawartość trzech torebek znalazł sznur ze skóry karibu oraz mały nieprzemakalny woreczek, starannie owinięty, w którym schowane były przybory, używane przez Eskimosów do rozniecania ognia. Ów woreczek był dla Filipa prawdziwym skarbem. Zapasów żywności nie znalazł, co było najwymowniejszym dowodem, że obóz Eskimosów musiał znajdować się niedaleko.

Gdy po dokładnym przeszukaniu trupów powstał z ziemi, ujrzał nadchodzącą Celię.

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu na jej widok, jakkolwiek sytuacja wcale nie była wesoła. Rzekłbyś: najprawdziwszy Eskimos. Kaptur za duży, zakrywał jej prawie całą twarz; z odległości pięćdziesięciu kroków nikt by jej nie zdołał poznać. Filip podwinął w górę brzegi kaptura, odsłaniając jej uroczą twarzyczkę. Potem wyciągnął ciężkie pukle złotych włosów, rozkoszując się ich blaskiem. Po krótkim namyśle schował włosy z powrotem pod kaptur. Tak będzie bezpieczniej: w razie napadu nikt

nie pozna od razu, że pod kapturem ukrywa się twarz kobieca.

Wpatrywała się uporczywie w leżące na śniegu trzy martwe ciała, wymowny dowód odwagi Filipa i niebezpieczeństw, jakie mu groziły. Milczeli oboje, pogrążeni w myślach, zapominając o całym świecie, zapominając o tym, że czas ucieka, a każda stracona minuta może ich drogo kosztować. Obudzili się z zadumy, kiedy z pobliskiego świerka opadł na nich gęsty puch śnieżny.

Filip dał Celi do zrozumienia, że muszą natychmiast ruszyć w dalszą drogę, aby uniknąć grożącego im pościgu.

Przywiązał sobie do pasa torebkę, wziął pałkę, a po krótkim wahaniu także jeden dziryt. Nie wiedział dobrze, co prawda, na co mu ów dziryt przydać się może. Kogmollok rzuca dzirytem z odległości stu kroków i trafia niechybnie; Filip jednak nawet na dwadzieścia kroków trafić by nie potrafił. Z drugiej znów strony dziryt ten był zbyt cienki, aby mógł mu oddać jakiegokolwiek usługi w walce wręcz. Celia, idąc

za jego przykładem, ujęła w rękę drugi dziryt, gotowa do walki u boku swego opiekuna. Ruszyli w dalszą drogę, poprzez las.

Celia posuwała się z pewną trudnością. Niewygodnie jej było w tych ciężkich mokasynach, prawie o połowę za dużych. Filip starał się odszukać drogę, którą już raz poprzednio przebył w towarzystwie Brama. Rozglądał się uważnie, szukając najdrobniejszych szczegółów, według których mógłby się zorientować. Od czasu do czasu przystawali oboje, nasłuchując bacznie, czy nikt ich nie ściga.

Nagle natknęli się na zupełnie świeże ślady na śniegu, przecinające ich kierunek drogi pod kątem prostym. Filip nachylił się, by je lepiej zbadać. Wydał okrzyk zdziwienia: to były ślady nart.

Otóż Eskimosi nigdy nart nie używają. Ślady te zatem musiał pozostawić jakiś biały człowiek. Skonstatował zarazem coś więcej jeszcze. Rozstęp kroków był tak ogromny, że Filip sam nie zdołał stawiać tak dużych kroków.

— Nie ma Eskimosa — zawołał — który potrafiłby stawiać takie ogromne kroki. Te mały biegną szybko, ale stawiają kroki drobnutkie. Tylko jeden Bram lub inny biały człowiek, mógł zostawić podobne ślady.

Zauważywszy wzruszenie Filipa, Celia również pochyliła się ku ziemi.

— Bram... Bram... — powtarzał Filip, wahając się.

Ale Celia zaprzeczyła ruchem głowy. Wpatrywała się uważnie w ślady na śniegu. Wzięła w rękę długą igłę świerkową i położyła ją poprzecznie na jednym ze śladów. Filip zrozumiał, o co jej szło. Przypomniawszy sobie, że Bram miał narty ucięte równo na końcu, a nie zaokrąglone, jak to zwykle bywa. Ten charakterystyczny szczegół nie uwidaczniał się jednak na tych śladach, które mieli przed sobą. Zatem to nie Bram tędy przechodził.

Filip zawahał się, co dalej począć. Kto to mógł być? Przyjaciel, czy wróg? A może ktoś z policji Royal North-West, który im niespodziewanie może przyjść z pomocą? Czy iść za

tym śladem, czy omijać go? Jedno i drugie było równie ryzykowne. Na co się zdecydować?

W tej chwili, gdzieś z daleka, rozległ się dziwny, przeciągły okrzyk, niby głuche warczenie bębna:

— Hum... hum... hu... u... u... m... m... m!...

Echo niosło ten ponury okrzyk na cztery strony świata.

Zrozumieli oboje, co to znaczy. Oto Eskimosi znaleźli swych zabitych towarzyszy i zbierają się przy nich, nawołując się wzajemnie. Filip nie namyślał się już dłużej. Należało iść czym prędzej za śladem owego tajemniczego białego człowieka. Trudno, niech się dzieje co chce...

ROZDZIAŁ XIX. UCIECZKA

Filip odrzucił dziryt i pałkę, zatrzymując tylko nóż Eskimosa. Porwał Celię na ręce i puścił się pędem naprzód.

— Trzeba nam zmykać co sił w nogach — mówił. — W przeciwnym razie...

W ten sposób przebył około stu jardów, po czym przystanął, stawiając Celię na nogi. Chciał jej dać do zrozumienia, że muszą wyżyć całą energię, że od szybkości biegu zależy ich życie lub śmierć. Zrozumiała go i biegła szybko, dotrzymując mu dzielnie kroku. Śnieg przestał padać.

Po drodze Filip obliczał wszystkie możliwe szanse. Wiedział dobrze, że Eskimosi, zebrawszy się wokół zabitych, będą przede wszystkim krzyczeć i radzić, wyczyniając małpie skoki. Stracą na to sporo czasu, co oczywiście dla Filipa może być bardzo korzystne. Potem puszczą się w pościg, ale z wszelkimi ostrożnościami, pomni na ową ranę od kuli na czole jednego z zabitych.

Co się tyczy owego tajemniczego nieznajomego, śladami którego Filip i Celia szli obecnie, należało postępować chytrze i ostrożnie. Najważniejsze, to zaskoczyć niespodzianie i od razu obezwładnić, by nie mógł im zaszkodzić.

A gdyby tak udało się zabrać mu strzelbę? To dopiero byłaby cenna zdobycz!

Ślady wyglądały na zupełnie świeże — to nie ulegało żadnej wątpliwości. Pokrywała je zaledwie cieniutka warstwa śniegu. Zdaniem Filipa, ślady te powstały najwyżej przed godziną.

Wkrótce jednak Celia zmęczona biegiem przystanąła. Spod odrzuconego w tył kaptura wychyliła się twarzyczka zaczerwieniona ze zmęczenia. Ślicznie wyglądała. Jakżeby chętnie Filip ucałował ją w te czerwone, rozchyłone usta! Ale nie mieli ani sekundy czasu do stracenia. Filip porwał ją w ramiona i puścił się biegiem. Wszystko pójdzie dobrze, o ile tylko siły mu dopiszą. Przebiegł w ten sposób około czterystu jardów, po czym znowu przystanął i postawił ją na nogi. Ogółem przebyli w ten sposób prawie milę.

Nagle ślady skręciły ze wschodu ku północy, co trochę zdziwiło Filipa. Przysiedli oboje na leżącym opodal zeschniętym pniu świerko-

wym, żeby odpocząć. Ów tajemniczy nieznamy też musiał w tym miejscu przystawać, bo ślady były zupełnie świeże, nie przysypane jeszcze śniegiem.

— Założyłbym się — zauważył Filip — że w tej chwili znajduje się on w odległości najwyżej pół godziny drogi od nas.

Przyglądając się uważnie, zauważył na zmarzniętym śniegu kilkanaście drobnych, ciemno-brunatnych punkcików.

— W tym miejscu musiał wyciągnąć swój woreczek z tytoniem — skonstatował Filip z uśmiechem.

Mimo protestów Celi, która chciała iść sama piechotą, wziął ją znowu na ręce. Spostrzegł bowiem, że siły ją opuszczają, a stara się nadrabiać miną. Dyszała ciężko, twarzyczka jej ściągnęła się ze zmęczenia. W tym ciężkim futrze i dużych mokasynach musiało jej być niewygodnie. Nawet gdyby szli wolnym krokiem, a nie biegli, odczułaby zmęczenie.

Chcąc ulżyć sobie trochę, uniósł Celię wysoko; zarzuciła mu ramiona na szyję, przylegając niemal twarzą do jego twarzy, co dodało mu nowej jeszcze podniety.

Wreszcie przystanął, też był już zdyszany i wyczerpany zupełnie. Po krótkim wypoczynku ruszyli znowu. Celia starała się dotrzymać mu kroku, ale nogi uginały się pod nią. Jej różowa twarzyczka zrobiła się teraz sinoblada, oczy zasnute mgłą straciły blask. Filip nie wyglądał lepiej. Wyczerpały się ich siły i energia. Celia, zmuszając się do bladego uśmiechu, pochyliła się ku Filipowi, podając mu swoje usta. Przyłgął do nich i długo całował.

Szli już teraz wolno. Według jego obliczeń powinni oddalić się już na jakieś pięć mil od spalonej chatki. Eskimosi niewątpliwie nie zdołali zrobić dotychczas więcej niż dwie mile.

Doszli teraz do dużego wzgórza uformowanego ze śniegu, który został nawiany tu przez wichry i był mocno zbity i zamarznięty. Filip przypomniał sobie, że przez to wzgórze prze-

jeźdżał już raz z Bramem. Było to wkrótce po minięciu owej pierwszej chatki.

Ślady nieznajomego wiodły właśnie przez wzgórze. Prowadziły zatem niewątpliwie właśnie do owej chatki. Jakże się teraz Filip cieszył, że puścił się tymi śladami! Teraz dopiero przekonał się, że początkowo szli oboje w złym kierunku.

Celia ledwo już nogami powłóczyła. Filip musiał ją ująć mocno pod rękę. Próbowwała się bronić, ale z jej piersi wydobył się tylko żalosny szloch.

— Odwagi! — pocieszał ją Filip. — Chatka musi być już niedaleko. Mam jeszcze dość siły, by cię tam doprowadzić.

Przełknął z trudem gęstą ślinę, nagromadzoną w gardle. Celia oparła się z ufnością na jego ramieniu.

Szli jeszcze około pół godziny, aż nagle, w niewielkiej odległości, ujrzeli chatkę.

W chatce musiało być, z komina bowiem snuła się cienka smuga dymu.

Tam zatem czekało na nich życie lub śmierć — ocalenie lub ostateczna rozpacz... Filip ułożył Celię pod krzakiem w ten sposób, żeby była niewidoczna. Następnie ściągnął z siebie futro Eskimosa i rzucił je na śnieg. Przygotowywał się do walki. Naprężył wszystkie mięśnie. Celia niemal pobladła, była taka biała jak ten śnieg, na którym leżała.

— Bogu dzięki! — zakrzyknął Filip. — Doszliśmy do celu, zanim Eskimosi zdążyli nas dogonić. Idę na zwiady. Zostań tu i nie ruszaj się z miejsca.

Z westchnieniem zarzuciła mu ramiona na szyję. Jakże pragnęła zatrzymać go albo iść razem z nim! Ale trudno — wiedziała, że musi go słuchać.

— Filip — szepnęła cichutko.
Odszedł.

ROZDZIAŁ XX. GORAĆCE PRZYJĘCIE

Filip obszedł chatkę dookoła. Pamiętał, że w chatce było tylko jedno okno zamykane drewnianą okiennicą, podnoszoną do góry. Ostrożnie podszedł pod okno.

Okiennica była zamknięta. Przyłożył ucho do szpary między deskami i usłyszał z wnętrza chaty jakieś kroki. Celia mogła obserwować każdy jego ruch, z miejsca na którym leżała; odczuwał trwogę i lęk, promieniujące z jej oczu aż ku niemu.

Następnie podsunął się do drzwi. Chciał jak najprędzej przekonać się, co to za człowiek znajduje się w chatce. Serce biło mu żywiej na myśl, że może znajdzie tam przyjaciela i sojusznika. Przede wszystkim jednak chciał wejść w posiadanie strzelby, o ile owa tajemnicza osobistość ma jakąś strzelbę. Musi ją zdobyć, przemocą czy podstępem mniejsza o to, bo Eskimosi z każdą chwilą byli coraz bliżej.

Gdy doszedł do drzwi, zauważył przede wszystkim parę nart i wiązkę dziurytów, oparte o ścianę chatki. Rozczarował się. Czyżby ów człowiek nie był białym, lecz Eskimosem olbrzymiego wzrostu?

Pociągnął nosem, węsząc jak pies. Spoza niedomkniętych drzwi doleciał go zapach tytoniu i kawy. Eskimos może wejść w posiadanie tytoniu, a nawet herbaty, może ją pić, ale nigdy nie pije kawy!

Przymknął na chwilę oczy, olśnione białym refleksiem śniegu. Potem ostrożnie, po cichutku, zajrzał przez niedomknięte drzwi do wnętrza chaty.

W panującym wewnątrz półmroku spostrzegł duży piec. Nad płonącym ogniem stała pochylona sylwetka jakiegoś mężczyzny. Postąpił krok do przodu, obserwując uważnie, co się dzieje.

Człowiek za drzwiami podniósł się i wyprostował, wydobywając z pieca garnek z kawą. Po jego szerokich barach i olbrzymim wzroście Filip poznał natychmiast, że to nie może być Eskimos. Znowu ów nieznajomy odwrócił

się na moment twarzą do światła. Tak, to biały człowiek. Długie, nieuczesane włosy opadały mu na ramiona; twarz miał zarośniętą gęstą brodą.

Niemal natychmiast zauważył Filipa i stanął jak skamieniały.

Filip wymierzył w niego maleńki rewolwer Celi.

— Jestem Filip Brant — zawołał — z królewskiej policji w służbie Jego Królewskiej Mości. Ręce do góry!

Stali obydwoj wpatrzeni w siebie: jeden sztywny, ogromnie zdziwiony, drugi trochę zdeprymowany i niepewny tego, co za chwilę może nastąpić.

Filip stał odwrócony plecami do drzwi. Liczył na to, że w cieniu jego postaci, nie zauważy rozmiarów tego maleńkiego niby zabawka rewolweru. W każdym razie strzał na tak bliską odległość powinien być skuteczny. Spodziewał się, że tajemniczy osobnik po krótkim namyśle zdecyduje się podnieść obie ręce do góry.

Tymczasem nastąpiło coś takiego, czego nie mógł się spodziewać. Oto człowiek-olbrzym podniósł do góry rękę, w której trzymał garnek z kawą i zniemacka chlusnął wrzącym płynem na twarz Filipa. Filip zdążył jeszcze uchylić na czas głowę i wypalić z rewolweru. Ale zanim zdążył po raz drugi odciągnąć kurek i wystrzelić, tamten rzucił się na niego i to z takim impetem, że obydwaj uderzyli całym ciałem o ścianę chatki. Potem w dzikim uścisku runęli obaj na podłogę.

W tej chwili przyszła Filipowi myśl, że dobrze zrobił, zrzucając wcześniej ciężkie futro Eskimosa, które zawadzałoby teraz w walce. Równocześnie przypomniał sobie Brama. Przeciwnik jego zarówno siłą, jak i wzrostem dorównywał Bramowi. Zastosował zatem wobec niego te same sposoby i system walki, jakie ułożył sobie na wypadek walki z Bramem.

Należało przede wszystkim oswobodzić się od ciężaru tego olbrzymiego cielska, które zważyło się na niego. Dobrze wymierzonym ciosem pięści uderzył z całej siły w twarz swego prze-

ciwnika, zanim ten ostatni zdążył go zupełnie przytłoczyć do ziemi. Korzystając z chwili zamroczenia swego wroga, Filip podniósł się szybko na kolana, a następnie stanął mocno na nogach. Był to pierwszy jego triumf, odniesiony dzięki zimnej krwi i rozumowi. Ale do zwycięstwa było jeszcze daleko!

Filip górował nad swym przeciwnikiem zręcznością i zwinnością; tamten natomiast miał inny atut: ciężar swego cielska.

Tymczasem nieznajomy również zdążył podnieść się z ziemi. Filip od razu przystąpił do ataku, uderzając go pięścią w szczękę. Jeden taki cios wystarczał normalnie dla powalenia każdego przeciętnego człowieka. Ale ów olbrzym ani drgnął! Filip ponowił uderzenie. Tym razem olbrzym zachwiał się, zakreślając zygzaki, podszedł do leżącego opodal worka z ziarnem i opadł nań ciężko.

Ostatecznym wysiłkiem swych mięśni Filip zamachnął się po raz trzeci. Tym razem jednak źle wycelował: zaciśnięta pięść przeszła ponad ramieniem przeciwnika, a Filip stracił rów-

nowagę. Upadł w ramiona swego wroga, i prawie natychmiast poczuł pod gardłem żelazny uścisk ręki, zacieśniający się coraz bardziej.

Lewą ręką chwycił tamtego za drugą rękę, tak by mu ją unieruchomić; prawą zaś począł go tłuc systematycznie, bez przerwy, po twarzy i dolnej szczęce. Tamten zachowywał się tak, jakby zupełnie nic nie czuł! Wówczas podbił mu zręcznie nogę i obydwaj znowu zwalili się na ziemię. Żaden z nich nie zauważył Celi, która stanęła w drzwiach, z oczyma rozszerzonymi zgrozą i strachem.

Tarzali się niemal u jej stóp. Dojrzała opuchniętą, zakrwawioną twarz olbrzyma, na którą bez przerwy spadały ciosy Filipa. Ujrzała dwie kosmate grube, zakrwawione łapy, zaciskające się wokół szyi Filipa.

Krzyknęła przeraźliwie, a w jej oczach zamigotał ogień walki.

Jak strzała rzuciła się w kąt izby, gdzie stała oparta o ścianę gruba pałka. Widział Filip, jak jej twarzyczka okolona złotymi włosami mignęła nagle ponad duszącym go olbrzymem.

Na jego szeroki pochylony kark spadła z całym rozmachem gruba pałka. Ogluszony ciosem natychmiast zwolnił uścisk żelaznych łap i stracił od razu przytomność.

Filip z szaleńczym śmiechem zerwał się na nogi. Otworzył szeroko ramiona, a Celia ze szlochaniem, rzuciła mu się w objęcia, dysząc przy tym ciężko.

Niebezpieczeństwo chwilowo minęło. Jeżeli tamten nie umarł, to w każdym razie niewiele mu do śmierci brakowało. Filip, na wpół zduszony, zaczął przede wszystkim głęboko oddychać, wciągając pełną piersią powietrze. Równocześnie rozglądał się uważnie po pogrążonej w półmroku izbie.

Nagle krzyknął z radości, bo oto w kącie dostrzegł opartą o piec strzelbę. Na strzelbie wisiał pas skórzany z futerałem, a w futerales tkwił rewolwer! Więcej to było warte w tej chwili, niż bryła szczerego złota!

Natychmiast opasał się tym pasem. Za pasem tkwiło aż czterdzieści naboii, z tego dwie trzecie do strzelby, kule dum-dum z ołowia-

nym płaskim końcem. Reszta naboju była od rewolweru. Strzelba była najnowszej marki, doskonała; rewolwer dużego kalibru, nabity. Obejrzał go i otworzył przed oczami Celi, która również nie posiadała się z radości.

Podszedł do drzwi chaty i zawołał mocnym, dźwięcznym głosem:

— No, teraz możecie przyjść tu, wy małe diabły! Nie boję się was! No, dalej, chodźcie tu! Pierwszy, który się pokaże, jest za minutę trupem!

Milczenie przerwał jakiś inny krzyk, dochodzący z nieznaczonej odległości. Była to odpowiedź na wyzwanie rzucone przez Filipa.

ROZDZIAŁ XXI. BLAKE ZACZYNA MÓWIĆ

Filip i Celia nasłuchiwali uważnie.

Krzyk powtórzył się po chwili, ale tym razem brzmiał on już zupełnie inaczej:

— Ma-too-ee!

Jest to okrzyk, którym Eskimosi nawołują swych towarzyszy. Ten niewątpliwie rzucony był pod adresem gospodarza chatki.

Podczas kiedy Filip, stojąc pod drzwiami, śledził bystrym wzrokiem całą okolicę, Celia wróciła do wnętrza izby. Olbrzym, którego powaliła uderzeniem pałki, zaczynał się ruszać. Przywołała więc Filipa, który kazał jej wyjść i stać na straży przed domem, sam zaś zajął się skrępowaniem jeńca.

Przy pomocy rzemienia ze skóry karibu związał mu mocno ręce i nogi. Podczas tej operacji promień światła padł na twarz i pierś powalnego olbrzyma, którego ubiór ucierpiał silnie w czasie walki. Na obnażonej klatce piersiowej widniał wytatuowany na różowo jakiś rysunek, przyciągający uwagę Filipa.

Rysunek był dość prymitywnie wykonany i przedstawiał rekina z olbrzymimi szczękami, przebitego na wylot harpunem, od którego na próżno starał się uwolnić. Ponad rekinem wytatuowano kilka liter częściowo już zatartych. Filip odcyfrował je z trudnością i przeczytał:

„B-L-A-K-E...” A przed nazwiskiem tym jedna litera: „G”.

— Blake — powtórzył Filip, wstając. — George Blake zapewne. Musi to być jakiś majtek okrętowy.

Blake odzyskał przytomność i coś mruczał. Tymczasem od drzwi rozległ się głos Celi, wołała na Filipa. Podszedł do drzwi i wyjrzał na pole. W odległości jakich stu pięćdziesięciu jardów ujrzał sanki, ciągnięte przez psy i zbliżające się w stronę chatki.

Psów było osiem — wszystkie kudłate o małych łbach, rasy eskimoskiej, jakie spotyka się w okolicach podbiegunowych. Ciągnęły obładowane sanie, na których siedziała jakaś krępa, otulona w futra postać.

Tymczasem w głębi izby rozległ się groźny pomruk. Filip odwrócił głowę i spotkał się ze wzrokiem Blake’a, który utkwiał w niego swe krwią nabiegłe oczy. Zakrwawione usta wykrzywił w strasznym śmiechu i całym wysiłkiem mięśni starał się zerwać krępujące go więzy.

Celia przyglądała się uważnie leżącemu na ziemi Blake'owi, a w jej oczach malowało się niewysłowione zdziwienie. Kiedy Blake dźwignął się do pół ciała, ukazując swą twarz w pełnym świetle, Celia krzyknęła ze strachem, stojąc jak urzeczona.

Ale spoza drzwi dolatywał już głos Eskimosa, przybyłego na saniach. Blake zwrócił wzrok ku drzwiom z radosnym pomrukiem. Gwałtownym wysiłkiem mięśni przerwał skórzany rzemień, krępujący mu ręce. W tym samym momencie jednak Filip przyłożył mu lufę rewolweru do skroni, mówiąc szybko:

— Jeżeli piśniesz choć słówko, jeżeli dasz jakikolwiek znak, zginiesz natychmiast, Blake!... Muszę mieć te sanie wraz z zaprzęgiem! Milcz, bo łeb ci roztrzaskam od razu!

Zostawił Blake'a pod opieką Celi, która tymczasem chwyciła za strzelbę i już stała gotowa z palcem na cynglu, a sam wyszedł przed chatę, w momencie, gdy sanki zajeżdżały przed drzwi. Eskimos, powożący psami, ujrzał zdumiony lufę rewolweru skierowaną ku niemu.

Słowa były zbyteczne, by dać mu do zrozumienia, że ma zejść z sanek i wejść do środka chatki, pod grozą wymierzonego rewolweru.

Gdy już znalazł się w izbie, Filip kazał mu się obrócić tyłem i związał mu silnie ręce na plecach. Następnie powtórzył tę samą operację z Blake'm, krępując mu ręce podwójnym rzemieniem, podczas gdy Celia nie spuszczała palca z cyngla, gotowa w każdej chwili strzelić, gdyby któryś z dwóch jeńców próbował stawiać opór. Imponowała Filipowi swą zimną krwią i odwagą.

Dopiero gdy Filip skończył, opuściła strzelbę i oparła ją o ścianę. Potem podeszła do Filipa, i wskazując ręką na Blake'a, zaczęła szybko mówić: widocznie chciała mu wyjaśnić, kiedy i w jakich okolicznościach spotkała już poprzednio tego człowieka.

Blake wcale nie stracił rezonu, i owszem, wpatrywał się w Celię z taką bezwstydną bezczelnością, że Filipa aż ciarki przeszły.

— Nic nie rozumiesz, nieprawdaż? — zagadnął go Blake, wybuchając grubiańskim śmie-

chem. — Ja także nic. Ale domyślam się doskonale, co ona ci chce powiedzieć. Pęknać można ze śmiechu!

Skierował oczy ku drzwiom, jakby spodziewał się pomocy. Widząc, że nikt się nie zjawia, wybuchnął gniewem.

— Zatem ty się nazywasz Filip Brant, z królewskiej lotnej policji? Moje nazwisko już znasz; przeczytałeś je: Blake. Tylko to G. wcale nie znaczy George. Jeżeli mi rozwiążesz nogi, abym mógł stanąć lub przynajmniej usiąść, powiem ci coś ciekawego. No, nie bój się! Przecież mając tak skrupowane ręce, nie mogę ci zrobić nic złego. Pozwól raz tylko wyprostować trochę członki. Leżąc tak na plecach, nie mogę mówić. Dusi mnie w gardle, gdy ledwo otworzę usta.

Filip ujął w ręce strzelbę i wręczył ją Celi. Następnie przeciął więzy na nogach jeńca. Blake'a podniósł się z ziemi i stanął.

— No, teraz gadaj! — odezwał się Filip rozkazującym tonem, przykładając równocześnie lufę rewolweru do jego piersi. — Daję ci

minutę czasu na wyznanie wszystkiego. Toś ty sprowadził Eskimosów aż tutaj, prawda? Czego wy chcecie od tej dziewczyny? Czegoście się na nią uwzięli? Co zrobiliście z jej ojcem?

Blake wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu. Tonem stanowczym zaczął mówić wolno, dobitnie:

— Pomyliłeś się, bratku! Mnie nie nastraszyś niczym. Znam ja się na takich sztuczkiach. Nie łżyj, że mnie zastrzelisz. Nie będziesz strzelał i nie masz wcale takiego zamiaru. Skoro mi się spodoba, będę mówił... albo nie powiem nic. Zanim się zdecyduję, dam ci jedną dobrą radę. Oto zabierz sobie te sanki stojące przed domem, weź psy, i uciekaj stąd czym prędzej. Sam jeden, sam jeden, rozumiesz?! Zostaw tu tę dziewczynę i nie zajmuj się nią więcej. Tylko w ten sposób może ci się uda uniknąć losu...

Wykrzywił straszliwie gębę i wzruszył ramionami.

— Chciałeś powiedzieć — dokończył za niego Filip, nie posiadając się z gniewu — losu Olafa Andersona i jego towarzyszy?

Blake skinął potakująco głową.

Filip zadrżał cały, serce biło niczym młot. Oto w tej chwili odkrył tajemnicę, nad którą policja od dwóch lat na próżno łamała sobie głowę. Blake, ten człowiek co tu przed nim stoi, był owym tajemniczym białym, prowodyrem Kogmoloków, odpowiedzialnym za wszystkie zbrodnie, popełnione przez tych demonów Północy. Przecież on sam przyznał się przed chwilą, że ma na sumieniu zamordowanie Olafa Andersona!

Już, już zamierzał pociągnąć za kurek rewolweru, ale na czas odzyskał panowanie nad sobą. Patrząc Blake'owi prosto w oczy opuścił pomalą rękę, aż rewolwer zawisł mu na pasie.

W oczach Blake'a zamigotały błyski triumfu. Pewny już był zwycięstwa.

— To jedyny dla ciebie ratunek — powtórzył z naciskiem — Jedyny, powtarzam! I nie masz ani chwili czasu do stracenia.

Rzeczywiście, można się było spodziewać, że Eskimosi już niedługo nadejdą.

— Może masz i rację — odpowiedział Filip z udawanym wahaniem i znacznie łagodniejszym głosem. — Ale i pozwól mi zabrać ze sobą tę młodą dziewczynę. Ona tylko jednego pragnie, jak mi się zdaje: wrócić do swego ojca. Gdzie jest jej ojciec?

— Jest w pobliżu Miedzianej Rzeki, w odległości około stu mil od jej ujścia. Znajdziesz go tam żywego. Ale dziewczyna musi tu zostać. Dobrze będzie, jeżeli sam potrafisz wydostać się z tej matni, w jaką wpadłeś.

— Słuchaj Blake, zagrajmy obydwaj w otwarte karty. Nie znam zupełnie języka, jakim mówi ta dziewczyna. Toteż nie zrozumiałem ani słówka z tego, co mi mówiła. Wiem o niej tylko tyle, że Bram się nią zaopiekował, że była u niego aż do chwili, kiedy te twoje eskimoskie szczury wciągnęły Brama w zasadzkę i zapewne zamordowały. Więc zanim ją opuszczę, chciałbym dowiedzieć się, co ona za jedna, kim jest jej ojciec i czego ty od niej właściwie chcesz.

Odpowiedz mi zupełnie szczerze, a potem nie będę już zwlekać ani minuty.

Błake'a zaśmiał się przeraźliwie i podszedł bliżej do Filipa:

— Czego ja od niej chcę? — powtórzył wolno. — Gdybyś ty, tak jak ja, przez pięć lat nie widział na oczy białej kobiety i gdybyś tak niespodziewanie w zapadłym kącie, w odległości dwóch tysięcy mil od wszelkiej cywilizacji, natknął się na podobną niebiańską istotę, co byś ty sam z nią począł? No, powiedz! Czegoż byś od niej żądał? Gdybym nie był takim skończonym osłem, byłbym już dawno doszedł z nią do ładu... jeszcze za pierwszym spotkaniem, zanim ten przekłety Bram Johnson ze swymi wilkami wyrwał ją z rąk moich i Eskimosów.

Filip z wysiłkiem hamował ogarniające go oburzenie, podczas gdy Celia wodziła zaniepokojonym wzrokiem po obu mężczyznach, na próżno starając się odgadnąć, co oni mówią.

— Tak, tak, rozumiem już — odparł Filip. — Wymknęła ci się w najwłaściwszej chwili.

li. Ale... czy ona w ogóle wiedziała, czegoś ty chciał od niej? Czy jej to mówiłeś? Jestem przekonany, że ona dotychczas jeszcze nie domyśla się tej twojej miłości... uważa cię tylko za przyjaciela. Teraz postarasz się to odrobić, prawda?

Oczy Blake'a zabłyśły dziko, twarz ściągnęła mu się w złowrogim grymasie.

Filip wybuchnął, a zanim jeszcze zaczął mówić, Blake już rozumiał, że wzięto go na kawał.

— Nigdy jeszcze nie dziękowałem Panu Bogu tak serdecznie, jak w tej właśnie chwili! — mówił Filip. — Tak jest, dziękuję Bogu z głębi serca, że Bram, ów potwór, obrzydliwy, wstrętny, ów wariat — ma jednak duszę! No, a teraz dotrzymuję danego słowa — nie będę zwlekać już ani minuty dłużej. Chodź tu!

Blake zryczał z wściekłości:

— Ja mam iść? Dokąd? Co to ma znaczyć?

— Jak to? Jeszcze się nie domyślasz? Nie domyśliłeś się, że ja razem z tą dziewczyną wyruszam w drogę, nie na południe, lecz w stronę Miedzianej Rzeki, i że ty idziesz razem z nami? Otóż słuchaj, co ci powiem! Słuchaj dobrze!

Być może, że po drodze wypadnie nam się bić. Na ten wypadek zatem wbij to sobie dobrze do mózgowicy, że pierwsza kula przeznaczona będzie dla ciebie! Zrozumiałeś! Z chwilą, gdy choć jeden z tych zbójów Kogmoloków wystawi nos na naszej drodze, zastrzelę cię jak psa. Dlatego dobrze będzie, jeżeli od razu wyjaśnisz całą sprawę w odpowiedni sposób tej czarnej małpie o gębie puchacza, co stoi tu i wyłupia na nas swe ślepie. Przykaż temu jegomościowi, by tę radosną nowinę zwiastował swym zacnym braciom, skoro się tu zjawią. Niech ich objaśni należycie... No, dalej, spiesz się!... Myślisz może, łotrze, że ja żartuję?...

ROZDZIAŁ XXII. W DRODZE DO MIEDZIANEJ RZEKI

Blake zrozumiał nareszcie, że to nie przelewki. Zwrócił się do stojącego Eskimosa i powiedział mu kilka słów w jego narzeczu.

Filip domyślał się doskonale, że dawał mu wskazówki i rady, jak mają postępować, by oswo-

bodzić Blake'a z rąk Filipa. Nie wątpił jednak, że Blake radził postępować ostrożnie i uprzedzał Kogmolloka, iż walka będzie ciężka i niebezpieczna wobec tego, że strzelba i rewolwer dostały się w ręce Filipa.

Kiedy Blake skończył mówić, kazał mu wyjść z izby i podprowadził go do stojących w pobliżu sań, gotowych do drogi. Na saniach leżał zapas świeżego mięsa karibu. Filip zostawił na saniach tylko niewielką część mięsa, potrzebną na drogę; resztę wyrzucił na śnieg. Następnie usadowił wygodnie Celię na saniach. Podszedł do Blake'a, który nogi miał już oswobodzone z więzów, i oswobodził mu jeszcze prawą rękę. A podając mu długi harap Eskimosa, leżący na saniach, rzekł:

— No, a teraz, Blake, w drogę! Będiesz biegł obok psów i masz kierować nimi. Prosto do Miedzianej Rzeki i to najkrótszą drogą! Idzie tu tak samo o twoje, jak i o moje życie. Za najmniejszy podejrzaný znak śmierć cię czeka.

— Oszalałeś chyba! — mruknął Blake niechętnie. — Oszalałeś!...

— Stul gębę! — odpowiedział krótko Filip. — Dalej, jazda!...

Blake trzasnął donośnie batem i rzucił krótki rozkaz w narzeczu Eskimosów. Psy, leżące dotychczas na śniegu, zerwały się gwałtownie. Zabrzmiał drugi rozkaz i sanki ruszyły z miejsca. Eskimos stojący na progu izby spoglądał błyszczącymi oczyma za saniami, oddalającymi się gwałtownie.

Filip biegł obok sanek. Strzelbę wręczył Celi, która trzymała ją opartą na kolanach, z palcem na cynglu, gotowa do strzału na wypadek, gdyby Blake próbował uciekać. Filip wiedział dobrze, że może jej powierzyć tę ważną funkcję, że Celia nie zawiedzie jego zaufania. I teraz biegnąc obok sań, widząc z jakim skupieniem i uwagą wpatruje się ona w szerokie plecy Blake'a — zaczął się śmiać. Celia rzuciła na niego przelotne spojrzenie i zarumieniła się mocno. W oczach Filipa wyczytała miłość.

— Ma rację Blake — monologował Filip półgłosem — trzeba być szalonym, by postępować w ten sposób. Dla ciebie tylko ryzykuję

tę podróż na północ, do twego ojca. A idzie tu o życie nas obojga. A może, ukochana, nie zdajesz sobie z tego należycie sprawy? Gdybyśmy jechali na południe, wkrótce już nic by nam nie groziło... Eskimosi nie ośmieliliby się ścigać nas daleko... I wówczas miałbym pewność, że będziesz moją... na zawsze...

Celia uśmiechnęła się łagodnie, słuchając go, choć nic nie rozumiała.

...I kto wie jeszcze... może zanim dojedziemy na miejsce, ojca twego nie zastaniemy już przy życiu?... Nasz los zależy obecnie od Blake'a... Pilnujże go dobrze! Ja również będę mieć go na oku.

I podchodząc na początek sań, nabił rewolwer, z którego na odległość trzydziestu kroków mógł zastrzelić Blake'a.

Jechali w kierunku północno-zachodnim. Na pewno w niedługim czasie natkną się na Miedzianą Rzekę, ów potężny strumień płynący ku północy, a o tej porze roku zupełnie zamrznięty. Ilekroć drzewa i zarośla stawały się rzadsze, Filip zbliżał się do Celi. Ale gdy tyl-

ko teren wydawał się odpowiedniejszy na jakąś zasadzkę, wracał natychmiast do Blake'a, trzymając rewolwer w ręce. Wówczas Celia oglądała się poza siebie, bacznie śledząc, czy ich kto nie ściga.

Jechali w ten sposób już trzy kwadranse, kiedy nagle Blake rzucił krótką komendę. Psy przystanąły natychmiast.

Znajdowali się na małym, zupełnie pustym wzgórzu. W dali przed nimi rysowała się czarna linia lasu. Blake wskazał ręką na gęstą smugę czarnego dymu, wijącą się ponad świerkami.

— Teraz musisz sam zdecydować, co począć dalej — mówił zimno i spokojnie. — Droga nasza prowadzi przez ten las... widzisz tę smugę dymu? Musi tam siedzieć kilkunastu Eskimosów, zapewne obzerają się mięsem upolowanego karibu. Jeżeli pojedziemy dalej w tym kierunku — spostrzegą nas, a ich psy na pewno nas zwęszą. Ta okolica, w której obecnie się znajdujemy, to prawdziwa mordownia przesiąknięta krwią... Wolę cię lojalnie o tym uprzedzić,

bo wcale nie mam ochoty dostać w łeb owej kulki, którą mi obiecałeś.

W głosie Blake'a brzmiała nuta szczerości. A jednak zdawało się Filipowi, że w oczach jego czai się jakaś złośliwa myśl.

— Zastanów się dobrze, Filipie Brant! Jeżeli nie odstąpisz od swego zamiaru i będziesz jechał dalej w tym kierunku — do wieczora będziemy mieć około dwustu Eskimosów na karku. Dziękuj Bogu, że tutaj zatrzymałem psy, zamiast rzucić was oboje w samą paszczę wroga! Skorzystaj z tego, jeżeli ci życie miłe. Zostaw mi tę dziewczynę, a sam zmykaj na południe razem z psami i saniami.

To już pachniało wyraźnym szantażem.

— Jedziemy dalej — oświadczył stanowczo Filip, mierząc Blake'a pogardliwym spojrzeniem. — Jeżeli kto, to ty jeden właśnie, możesz przejechać spokojnie pod samym nosem Eskimosów. Ty mi będziesz najlepszą bronią, jeżeli nie chcesz sam zginąć. Być może, że po twojej śmierci ja dostanę się w ręce Eskimosów. Ale tej dziewczyny nigdy nie dostaniesz!

Zrozumiano? Wkrótce już skończy się ta niebezpieczna gra, którą prowadzimy obydwaj. Jeden z nas musi przegrać, ale coś mi się zdaje, że to nie na mnie, lecz na ciebie wypadnie.

Zaćmiło się znowu spojrzenie Blake'a. Z głuchym pomrukiem wzruszył ramionami, trzasnął biczem i psy ruszyły z miejsca. Rzeczywiście, ominęli ów lasek zręcznie, bez żadnego wypadku.

Filip nie odstępował Blake'a przez cały czas ani na krok. W oczach bandyty, mimo jego pozornej uległości, dostrzegł coś nieokreślonego, ale podejrzanego. Coś, niby niema groźba, niby dziwny, chytry fałsz nikczemnej duszy, gotowej w każdej chwili do zdrady. Nie dał niczego poznać po sobie, ale czuł się dziwnie tym przytłoczony.

Nagle, gdy wydostali się z pagórkowatego, nierównego terenu, zakrywającego dalszy widok, Blake wskazał biczyskiem na otwierającą się przed nimi szeroką wolną przestrzeń, mówiąc:

— Oto Miedziana Rzeka!

ROZDZIAŁ XXIII. UCIECZKA BLAKE'A

Filip spoglądał na szeroką lodową tafłę rzeki, kiedy głośny krzyk Celi zwrócił jego uwagę w innym kierunku.

Wskazywała palcem na olbrzymi cypel skalny, sterczący samotnie na równinie, niby jakieś mauzoleum Cyklopów.

Blake zarechotał grubym śmiechem, patrząc bezczelnym wzrokiem w zarumienioną twarz młodej dziewczyny.

— Chce ci powiedzieć — zwrócił się do Filipa — że już poprzednio była tutaj, razem z Bramem. Razem z Bramem, który jest takim samym wariatem, jak i ty.

Nie czekając na odpowiedź Filipa, popędził psy naprzód po pochyłości i w kwadrans później sanie sunęły już po zamarznętej rzece.

Filip odetchnął z pewną ulgą. Nie było już zdradliwych zarośli, ani drzew, ani żadnych nierówności gruntu, ułatwiających zasadzkę. Jak okiem sięgnąć — jedna biała równina olbrzy-

miego Barrenu, wśród której nawet sama rzeka zdawała się niknąć. W nocy nie trzeba było lękać się jakiegoś niespodziewanego napadu. Tylko zachowanie się Blake'a i jego szydrczy uśmiech niepokoiły nieco Filipa. Czyżby Blake decydował się ryzykować własne życie, byleby wydać go w ręce Eskimosów?

Sanie sunęły teraz jak strzała po gładkiej lodowej tafli Miedzianej Rzeki, coraz głębiej na północ. Filip nie spuszczał oka z Blake'a. Po godzinie takiej jazdy doszedł do przekonania, że Blake stopniowo odzyskiwał coraz wyraźniej pewność siebie. Filip wiedział doskonale, że szkoda tracić czas na wypytywanie bandyty, bo przecież Blake mógł zupełnie dowolnie powiedzieć mu prawdę lub skłamać, pozostać nadal lojalnym lub zdradzić go.

Kiedy biegli tak jeden obok drugiego, nagle Blake wybuchnął śmiechem:

— To zabawne jednak — mówił z nieukrywaną ironią — zaczynam cię naprawdę kochać, Brant. O mało mnie nie zakatrupiłeś tam w chacie, teraz grozisz mi nieustannie śmier-

cią. A jednak mam dla ciebie dużo sympatii, i szczerze mi cię żal, naprawdę, gdy pomyślę, że jedziesz oto prosto do bramy piekła. Brama stoi otworem na oścież — przed tobą!

— Więc i ty wejdiesz tam razem ze mną!

— Och, ja się zupełnie nie liczę — odparł. — Ale źle zrobiłeś, odrzucając moją propozycję: w zamian za tę dziewczynę dawałem ci życie i bezpieczeństwo. A teraz — ty sam zginiesz, a ja razem z tobą. Zapewne wyobrazasz sobie, że potrafię utrzymać w karbach cały szczep Kogmolloków? Otóż mylisz się: mają oni innych wodzów, których słuchać muszą. A my zapuściliśmy się już głęboko w ich rejon.

Westchnął ciężko i dodał po chwili:

— Odmawiając mi tej dziewczyny, zniszczyłeś najpiękniejsze marzenie mego życia!

— Jakież to marzenie?

Blake krzyknął głośno na psy. Potem podjął znowu:

— Widzisz, tam daleko, daleko na północy mam ładną własną chałupkę. Zbudowana cała z żeber wielorybich i z najlepszego drze-

wa, zebranego z kadłubów okrętów, co się tam rozbiły. Otóż myślałem, że tam, w tej chałupce ona będzie razem ze mną. Czyż można wymarzyć sobie coś lepszego? I ty właśnie zburzyłeś wszystkie moje marzenia!

— Skoro już tak otwarcie mówisz ze mną, bądźże szczery do końca i powiedz mi wszystko. Co się dzieje właściwie z jej ojcem? Co z jego towarzyszami?

Blake przestał się śmiać.

— Ojdec jej zdrów i cały — odpowiedział. — Wiesz przecież o tym, że te pogańskie psy, Kogmolloki, szczególną czcią otaczają teściów. Każdy teść, to dla nich niby bożek, chodzący na dwóch nogach, święty symbol rodziny. Skoro tedy Kogmolloki przekonali się, że mam zamiar wziąć tę młodą dziewczynę za żonę, otoczyli jej ojca opieką, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Toteż on żyje sobie spokojnie i bezpiecznie w swej chacie. Co do jego towarzyszy, muszę jednak cię uprzedzić, że sprawa przedstawia się znacznie gorzej: wszyscy zginęli. Ale na miłość Boga, Brant, zastanów się tylko, w jaką

kabałę wpadniesz ty sam i ona razem z tobą! Skoro mnie zabijesz, oni załatwią się z tobą po swojemu — cóż się stanie z tą dziewczyną! Kto ją weźmie? Eskimosi nie lubią białych kobiet, więc zapewne dostanie się ona w ręce owego Metysa, który żyje wśród nich. Na pewno o nią kłócić się z nim nie będą.

To powiedziawszy, klasnął mocno z biczem, poganiając psy, które przyspieszyły biegu.

Filip nie wątpił zupełnie, że w słowach Blake'a dużo było prawdy. Wyjaśniały one w sposób zupełnie prawdopodobny zarówno wymordowanie towarzyszy ojca Celi, jak i darowanie życia temu ostatniemu. Nie mógł tylko nadziwić się, że Blake tak otwarcie to wszystko wyznał. Czyżby był tak zupełnie pewny bezkarności? Czyżby wiedział na pewno, że uda mu się umknąć?

W ciągu następnych godzin Blake nie powiedział już ani słówka. Widocznie uważał, że już powiedział wszystko. Nie próbował nawiązać rozmowy, ani też odpowiadać na stawiane mu przez Filipa pytania. Natomiast popędzał psy

tak energicznie do biegu, że na pewno przed nadejściem nocy zarówno ludzie jak i psy musiałyby popadać ze zmęczenia.

Coś straszliwego knuł on w głowie — nie wątpił w to Filip. Dziwnie to się wydawało podejrzanym, że tak mu spieszno było dobić do celu podróży. O godzinie trzeciej po południu mieli już poza sobą około trzydziestu pięciu mil przebytej drogi. Barren był zupełnie pusty i głuchy.

Okolo godziny czwartej po południu z obu brzegów rzeki zaczęły ukazywać się świerki; początkowo dość rzadko, stopniowo jednak przybywało ich coraz więcej, aż wreszcie zaległy zbitym ciemnym murem oba brzegi. Filip zwracał szczególną uwagę, by sanki jechały samym środkiem rzeki, której zmarznięte, szerokie koryto stanowiło najlepsze zabezpieczenie przeciw wszelkiej zasadzce. Normalnie jeden brzeg oddalony był od drugiego na dwieście jardów, miejscami nawet znacznie więcej. Z tej odległości można się było obawiać kulki ze strzel-

by. A w tym wypadku, czy kula trafiłaby, czy nie, Blake zginąć musi!

Kiedy ziemię zaczął zaścielać szary zmrok, Filip poczuł ogarniające go znużenie; nogi poczęły mu odmawiać posłuszeństwa. Celia siedziała skulona nieruchomo na saniach; skurcz owładnął wszystkie jej członki, a na jej twarzy zmęczenie i fizyczne przygnębienie wyźłobiło głębokie rysy. Psy, które przez cały czas biegły niewyprzęgane, dyszały ciężko ze zmęczenia. Jeden Blake zdawał się wciąż niezmordowany.

Okolo godziny szóstej wyjechali znów na równinę, na której tylko tu i ówdzie rosły pojedynczo świerki. Wedle obliczeń Filipa musieli od rana aż do tego czasu przebyć przynajmniej pięćdziesiąt mil drogi.

Na rozkaz Filipa zatrzymali się na samym środku rzeki. Filip przede wszystkim skrepiwał znów prawą rękę i obie nogi bandyty, po czym ustawił Blake'a pod małym wzgórzem ze zmarzniętego śniegu, w odległości dziesięciu do dwudziestu kroków od sań. Blake pogodził

się z losem, na pozór najzupełniej obojętny na wszystko.

Podczas kiedy Celia spacerowała szybko po lodzie, by wyprostować i zagrzać zziębnięte członki, Filip pobiegł na brzeg rzeki, gdzie rosło kilka powykrzywianych świerków i nazbierał tam garść suchych gałęzi. Wrócił z nimi do sanek i rozpałił opodal ognisko, starając się, by było jak najmniej widoczne.

W ciągu dziesięciu minut jedzenie było gotowe. Filip natychmiast zagasił ognisko, przydeptując żar nogami. Następnie rozdzielił między psy żywność, wydobył skóry niedźwiedzie i urządził z nich wygodne, miękkie pośłanie dla siebie i dla Celi. Tymczasem zapadła noc, tak ciemna, że zaledwie można było dojrzeć ciemną sylwetkę Blake'a, rysującą się na śniegu.

Nie rozstając się z nabitym rewolwerem, Filip przygarnął Celię w swe ramiona. Oparła mu ufnie głowę na piersi, obejmując go ramieniem. Zanurzył usta w jej złociste, rozplecione włosy, nie spuszczając jednak z oczu Blake'a.

Nastąpiła zupełna cisza, przerywana tylko dyszeniem zziębniętych psów.

Stopniowo, na czarnym sklepieniu niebios, zaczęły zjawiać się gwiazdy. Rozjaśniły się ciemności od zimnego, migotliwego blasku gwiazd. Filip widział przed sobą oczy Blake'a, jarzące się niby dwie pochodnie. Z lewej i prawej strony rysowały się wyraźnie oba brzegi. Można było na odległość dwustu jardów dojrzeć dobrze wszelki ruch, każdego człowieka, który próbowałby się zbliżyć.

Po pewnym czasie Filip zauważył, że Blake opuścił głowę nisko na piersi i oddychał równo i głęboko. Musiał widocznie zasnąć. Celia, przytulona do Filipa niby małe ptaszę, zasnęła od razu. On jeden tylko czuwał, bacząc na wszystko. Psy nawet spały, rozciągnięte na śniegu, niby martwe.

Upłynęła godzina. Blake nie ruszał się zupełnie. Nigdzie nie można było dojrzeć nic podejrzanego. Gwiazdy coraz bardziej rozjaśniały noc. Filip wciąż trzymał w ręku nabity rewolwer, którego stal lśniła w blasku gwiazd. Gdy-

by Blake przypadkiem otworzył oczy, od razu zauważy błyszczącą lufę...

Ale stopniowo i Filipa poczęła ogarniać senność, z którą na próżno starał się rozpaczliwie zmagać. Podobnie, jak owej pamiętnej nocy, kiedy wpadł w ręce Brama, tak i obecnie uległ w końcu zmęczeniu i niezmożonej potrzebie snu. Oczy mu się same zamykały i z coraz większym wysiłkiem musiał je otwierać.

Projektował sobie, że nie będą spać dłużej jak trzy godziny. Minęły już pełne dwie godziny, kiedy Filip całym wysiłkiem woli otworzył przymknięte powieki. Spojrzał na Blake'a: bandyta nie ruszał się z miejsca — głowa zwiisała mu na piersi.

Wówczas znużenie wzięło górę nad silną wolą Filipa. Zasnął. Ale nawet we śnie jakiś podświadomy instynkt przypominał mu ustawicznie ogrożającym niebezpieczeństwem, wołał na niego, aby się obudził, zabraniał mu spać.

I ten głos wewnątrz wreszcie zwyciężył. Otworzył pomалу ciężkie senne powieki. W pierwszej chwili odczuł ogromne zadowolenie, że uda-

ło mu się zwalczyć sen. Potem skierował spojrzenie ku Blake'owi.

Mały wzgórek śnieżny stał na swoim miejscu. Gwiazdy świeciły jasno, cisza była niezmierniona...

Ale Blake?... Gdzie się podział Blake?

Ścisnęło się serce Filipa: Blake zniknął!

ROZDZIAŁ XXIV. OLAF ANDERSON

Zaledwie sobie Filip uprzytomnił, że Blake uciekł, a już zerwał się na równe nogi, zapominając nawet o Celi, która zsunęła się na ziemię. Zerwała się również, nie rozumiejąc, co się stało. Lufa rewolweru Filipa mignęła jej przed oczyma. Dopiero gdy powiodła wzrokiem dokoła, zrozumiała, że Blake uciekł.

Filip przeszukał spojrzeniem cały horyzont. Blake jednak zniknął bez śladu! W tej chwili trącił nogą o strzelbę leżącą u stóp Celi. Odechnął z pewną ulgą: Blake nie zabrał ze sobą strzelby! Ani też nie zabił i nie skrepował

Filipa i Celi, choć mógł to zrobić. Dlaczego? W pierwszej chwili wydawało się to wprost niepojęte.

Od razu jednak przyszło mu na myśl, że widocznie Blake, bojąc się obudzić Filipa, nie śmiał zbliżyć się do niego i narazić na ewentualną kulkę. A może uciekł właśnie w tej chwili, gdy Filip już się budził? Nie w głowie mu wtedy było zabieranie strzelby, przede wszystkim musiał ratować własną skórę.

Otuliwszy Celię w futra, pozostawił ją w saniach, sam zaś podszedł ostrożnie do owego śnieżnego wzgórk, pod którym stał poprzednio Blake. Gdy tam doszedł, aż zakrzyknął ze zdumienia i przerażenia. Bo poza wzgórzem wyżłobione były na śniegu głębokie bruzdy, jak gdyby po śniegu wleczono jakieś duże zwierzę.

Otóż Filip wiedział o tym, że Eskimosi mają zwyczaj żłobić podobne bruzdy, kiedy czołgają się na brzuchu po śniegu, by zaskoczyć znieścacka jakąś uśpioną zwierzynę. W ten zatem sposób przyjsć oni musieli Blake'owi z po-

mocą. A zatem czołgając się na kolanach, uciekli niepostrzeżenie.

Celia podeszła do Filipa, trzymając strzelbę w ręku. I ona wpatrywała się z lękiem i ciekawością w owe ślady na śniegu. Filip, który wyrzucał sobie w duszy własną nieostrożność, zadowolony był w tej chwili, że nie mogą oboje porozumieć się w jednym języku, i że Celia tylko oczyma może żądać od niego wyjaśnienia co do ucieczki Blake'a.

Schował rewolwer do futerału, a wziął strzelbę z rąk Celi. Na wypadek ataku Kogmolloków, który mógł wkrótce nastąpić, strzelba bardziej przydać się może. Nie ulega bowiem wątpliwości, że owi Eskimosi, którzy wyswobodzili Blake'a, muszą mieć gdzieś w pobliżu swych towarzyszy.

Wrócili do sanek. Filip ucałował serdecznie gorące usteczka Celi i usadowił ją z powrotem w saniach. Zrozumiała i ona, że niestety ich sytuacja znacznie się pogorszyła. Potem podszedł do psów i pozaprzęgał je z powrotem.

Świsnął batem i psy, choć niechętnie, ruszyły w dalszą drogę. Popędzał je ustawicznie, nie za-
lując bata.

Tymczasem wstał księżyc, a ziemię zaległa biała mgła, zasłaniając niemal oba brzegi rzeki. Sanie sunęły samym środkiem koryta, a Filip biegł spokojnie obok psów, prosząc gorąco Boga, by Kogmolloki nie zjawili się wcześniej niż o świcie.

Przewidując z góry, co ma nastąpić, liczył jednak na to, że uda im się dojechać cało do owej chatki, o której wspominał Blake, a w której znajdować się miał ojciec Celi. Skoro już tam będą, potrafi przygotować się do obrony, a w razie napadu, pierwszą kulę przeznacza Blake'owi. Być może, że z chwilą gdy Blake zginie, uda mu się wejść z Kogmollokami w układy. Przecież to tylko jeden Blake zawziął się tak na Celię. A zdarzało się już nieraz, że Eskimosi zatrzymywali schwytanych jeńców, nawet białe kobiety, jako zakładników przez szereg miesięcy, nie robiąc im żadnej krzywdy.

Tylko, czy Blake zechce się narażać na kule? W tym sęk właśnie. Gdyby inaczej się nie dało, Filip zdecydowany był uciec się do podstępu. Wystawi chusteczkę, jako białą chorągiew, i zażąda, aby mu pozwolono pertraktować z tym bandytą. A skoro tylko Blake stanie przed nim, strzeli mu prosto w łeb jak psu. Skoro ma się do czynienia z takim bandytą i łotrem, nie można przebierać w środkach.

W przypadku zaś, gdyby Eskimosi napadli na nich po drodze, zanim zdążą dopaść chatki, Filip przewróci sanie, tworząc z nich rodzaj barykady, za którą ukryje Celię.

Troszkę pokrzepiony na duchu Filip popędzał znowu psy, już to chłoszcząc je batem, już to wołając na nie po imionach, które miał sposobność poznać w czasie, gdy Blake prowadził zaprzęg. Wśród srebrzystej nocnej mgły psy sunęły cicho niby cienie. Słysząc było jedynie cichy stuk ich pazurów po gładkiej tafli lodowej i skrzyp sunących sań.

I tak przebywali jedną milę po drugiej na tej zamarznętej wstędze Miedzianej Rzeki. Księż-

życ zniknął już za horyzontem. Zrobiło się znowu ciemno. Od czasu do czasu, kiedy psy zziębnięte odmawiały posłuszeństwa, Filip stawał w jednym szeregu z nimi, pomagając im ciągnąć. To znów podchodził do Celi i obejmował ją ramieniem, zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

Nareszcie zaczęło świtać. Rozwiały się cienie nocy i oba brzegi rzeki zarysowały się z początku słabo, potem coraz wyraźniej.

W odległości niespełna mili Filip dostrzegł czarne pasmo lasu. Zdziwiło go to, był bowiem pewny, że w tej szerokości geograficznej w ogóle drzew już się nie spotyka. A pod lasem stała chatka, a z tej chatki snuła się w niebo cienka smuga dymu.

Celia przywołała do siebie Filipa, wskazując ręką na chatkę, zaczęła mówić głosem nabrzmiałym od łez. Nie rozumiał nic z tego co mówiła, ale domyślał się najważniejszego. W tej oto chatce powinien się znajdować ojciec Celi, o ile oczywiście Blake mówił prawdę. Nareszcie dobili do celu tej ryzykownej podróży.

Celia była tak wzruszona, że niemal zemdlna opadła w ramiona Filipa.

Od strony lasu dochodziła głośna wrzawa. Słysząc było dzikie nawoływanie podobne do wycia wilków oraz ujadanie psów. Widocznie gromada Eskimosów urządzała tam łowy na jakiegoś zwierza. Potem rozległ się huk strzelby, a w ślad za tym posypały się pojedyncze strzały. Po chwili zapanowała zupełna cisza.

Filip usadowił Celię na saniach i popędził psy w stronę lasu i chatki. Niezadługo stanęli przed chatką. Celia zeskoczyła na ziemię.

Chatka była zamknięta; z wewnątrz nie dochodził żaden głos. Tylko dym snujący się z kominu świadczył o tym, że ktoś tam mieszka.

Celia, zdenerwowana, rozgorączkowana, podeszła do drzwi i uderzając w nie drobnymi swymi piąstkami, zaczęła wołać na kogoś w tym swoim dziwnym języku. Filip, stojąc obok niej, dosłyszał jakiś nieokreślony ruch poza ścianą chaty — potem odsuwanie rygla i jakiś głuchy niski głos męski, któremu odpowiedział ostry krzyk Celi. Drzwi się otworzyły. Stanął w nich

jakiś starzec z siwą brodą i włosami, wyciągając otwarte ramiona. — Celio — wyszeptał starzec.

Filip w milczeniu obserwował tę scenę. Ale natychmiast odwrócił się, bo usłyszał z tyłu poza sobą inny okrzyk. Od strony lasu biegła pędem ku chatce jakaś postać. Filip poznał od razu, że jest to biały człowiek, wyszedł mu na spotkanie, trzymając rewolwer w ręku. Wkrótce też stanęli obydwoj oko w oko.

Ów nieznajomy był wysokiego wzrostu, o bujnych rudych włosach, okalających mu całą twarz. Był bez czapki, twarz miał zbroczoną krwią. Wpatrywał się w Filipa z takim nateżeniem, że omal oczy mu nie wyskoczyły z orbit. A Filip, opuszczając rękę z rewolwerem, szepnął z niedowierzaniem:

— Boże wielki! Czy to naprawdę ty, Olaf Anderson?!

ROZDZIAŁ XXV. OBŁĘŻENIE CHATKI

Olbrzymi Szwed niemniej wydawał się zdumiony od Filipa. Ale wkrótce oczy rozjaśniły mu się radością. Uchwycił Filipa kurczowo za rękę, obmacywał go całego, jakby się chciał upewnić, że go oczy nie mylą, aż w końcu zaśmiał się, wykrzywiając twarz w komicznym grymasie.

Ten śmiech i ten grymas były specjalnością Olafa Andersona. Krew mu wówczas napływała do twarzy, skutkiem czego cała nabrzmiwała dziwacznie. Znali go z tego doskonale jego koledzy z policji i nieraz też się naśmiewali. A im bardziej sytuacja przedstawiała się tragicznie, tym silniejszym śmiechem wykrzywiała się czerwona twarz Andersona. Mówiono o nim, że nawet w godzinie śmierci nie zapomni o owym śmiesznym grymasie.

— Nie ma co mówić, przybywacie w samą porę — oświadczył na powitanie, ściska-

jąc z całej siły rękę Filipa, wykrzywiając twarz w uśmiechu.

— Wszyscy zginęli, prócz mnie jednego... I Calkins, i Harris, i ten mały Holender, O'Flynn to już dawno zimne, skostniałe trupy, mój Filipie! Spodziewałem się, że prędzej czy później wyślą jakiś patrol w poszukiwaniu mnie. I czekałem na was niecierpliwie. Ilu was jest?

Rzucił okiem poza chatkę i sanie, w stronę śnieżnej płaszczyzny. I wówczas zniknął mu z twarzy radosny uśmiech, ustępując miejsca nieukrywanemu rozczarowaniu.

— Sam? — spytał krótko.

— Tak jest, sam — przytaknął Filip. — Jest ze mną tylko Celia Armin, którą przypro-wadziłem tu do jej ojca. W tych stronach kręci się też niejaki Blake, skończony łajdak, z bandą Eskimosów. Dałem już im porządną nauczkę i chwilowo udało mi się zmylić ślady. Ale coś mi się zdaje, że niezadługo znów ich zobaczymy.

Olaf zaczął się znów śmiać:

— To naprawdę zabawne — oświadczył.
— Niech nas Bóg ma w swojej opiece. Przyjadą tu oni pierwszym pociągiem, że się tak wyrażę. Podczas gdy jedna połowa szczepu gonila za wami, druga połowa zawzięła się na mnie. Ale co w tym wszystkim najzabawniejsze, to to, że jesteś tylko sam jeden...

Spojrzenie Olafa padło na strzelbę i rewolwer.

— Masz amunicję? — zagadnął żywo. — A może i zapasy żywności?

— Mam jakieś czterdzieści naboji — w tym jedna trzecia do rewolweru. I duże zapasy mięsa.

— W takim razie wszystko już dobrze! — zaryczał Szwed radośnie. — Zamknijmy się w chatce razem z psami. Tylko trzeba się spieszyć.

Jakby na potwierdzenie ostatnich słów Olafa Andersona, od strony lasu huknął strzał i kulka przeleciała nad ich głowami.

Czym prędzej więc zagnali do chatki psy; również i sanie schowali do środka, co nie przyszło im tak łatwo, gdyż drzwi do izby były bar-

dzo wąskie. W tym czasie jeszcze kilkanaście razy rozległ się huk strzałów, a jedna z kul poprzez szparę między belkami wpadła nawet do wnętrza chaty.

Podczas gdy Olaf Anderson zapierał drzwi ciężką drewnianą zasuwą, Filip podszedł do Celi. Podbiegła ku niemu z oczyma jasno błyszczącymi w półmroku izby i zarzuciła mu ramiona na szyję. Anderson odwrócił się na ten widok, z miną niewymownie zdziwioną, a i ów starzec z siwą brodą wydawał się niemniej zdziwiony.

Celia uściskała Filipa, po czym zwracając się do swego ojca, przemówiła kilka słów. I zostawiwszy Filipa samego, wróciła do ojca. Olaf widocznie zrozumiał, co mówiła, gdyż westchnął głęboko:

— Co ona powiedziała? — spytał go Filip błagalnym tonem.

Olaf, który tymczasem już wyszukał sobie jakąś szparę w drzwiach i przytknął do niej oko, odpowiedział:

— Powiedziała, że poślubi ciebie, o ile uda nam się wydostać z tego piekła. W czepku się urodziłeś, nie ma co mówić! Celia Armin żoną takiego dzielnego i eleganckiego rycerza!... To byłoby naprawdę wspaniałe, o ile w ogóle do tego kiedyś dojdzie... Wątpię w to, prawdę powiedziawszy. A jeżeli mi nie wierzysz, chodź sam, przypatrz się, co się tam dzieje!

Filip przyłożył oko do szpary. Na śnieżnej polance pod lasem aż roiło się od Eskimosów. Było ich tam pięćdziesięciu i nie mieli zamiaru ukrywać się.

— To już tak od czterdziestu dni oblegają nas obu w tej chatce — objaśniał Olaf głosem tak spokojnym i zimnym, jak gdyby składał swój zwyczajny raport przed przełożonym. — Odparliśmy kilkanaście razy ich atak. Zużyliśmy osiemdziesiąt naboí, rozdzieliliśmy po połowie moją miesięczną rację żywności. Przedwczoraj wystrzelaliśmy wszystkie prawie naboje, zostało nam już tylko trzy. Wczoraj był spokój. A ponieważ nie mieliśmy już zupełnie nic do jedzenia i groziła nam śmierć głodowa, za-

tem dziś rano wybrałem się na zwiady, by upolować jakąś zwierzynę. Natknąłem się na paru Eskimosów, wiozących mięso karibu. Wdałem się z nimi w walkę. Przyszły inne posiłki, musiałem wystrzelić jeszcze dwa naboje. Został mi już tylko jeden jedyny, ostatni. Domyślają się tego widocznie i dlatego tak śmiało pokazują się nam na oczy. Moja strzelba jest kalibru 35. A twoja?

— Ten sam kaliber — odparł Filip, ogarnięty już gorączką walki. — Podzielimy równo moje naboje. Jeszcze im możemy zalać sadła za skórę. Ale, nawiasem mówiąc, należę do patrolu z Fortu Churchill. Objaśnię ci pokrótce, jakim sposobem, z własnej inicjatywy, zapędziłem się aż tutaj.

I nie przestając obserwować, co się dzieje w polu, opowiedział Olafowi w krótkich słowach o swym spotkaniu z Bramem Johnsonem i o wszystkim tym, co potem nastąpiło. Na usta cisnęło mu się tysiące pytań odnośnie Celi i jej ojca. Zapewne Olaf znał dobrze całą ich historię.

Ale Olaf, obserwujący przez inną szparę równinę leżącą po drugiej stronie chatki, gdzie rozciągała się lodowata tafla Miedzianej Rzeki, pociągnął go za ramię, dając mu znak, by i on tam spojrział.

Na drodze, którą przybył Filip, ukazały się sanie, jedne, drugie, trzecie i czwarte. Poza saniami biegło trzydziestu ludzi otulonych w filtra.

— To Blake ze swymi ludźmi! — wykrzyknął Filip.

Twarz Olafa Andersona skamieniała w jakimś żelaznym spokoju. Stwardniał dziwnie nawet jego zwykły uśmiech, a oczy lśniły dziwnym, zielonkawym światłem. I on gotował się do walki. Powiódł z wolna ramieniem, wskazując na cztery ściany chatki.

— O tę oto stawkę toczyć się będzie walka. W każdej z czterech ścian zrobiłem strzelnicę, aby można było strzelać we wszystkich kierunkach. Stary Armin chwilowo nic nam pomóc nie może, bo mamy wszystkiego tylko dwie strzelby. O ile dojdzie do walki wręcz, będzie

bił pałką. Ściany chaty zbudowane są z młodych drzew, niezbyt grubych. Nie jest wykluczone, że kule naszych wrogów mogą je przebić. I w tym tkwi największe niebezpieczeństwo. Musimy się też liczyć ze sprytem i doświadczeniem Blake'a, który niewątpliwie obejmie komendę. Tego to właśnie łotra ścigałem, kiedy natknąłem się na Armina i jego towarzyszy.

Podczas tej rozmowy Celia stała obok swego ojca. Oboje słuchali uważnie, nie mogąc jednak nic zrozumieć.

Filip włożył połowę swych naboii do prawej kieszeni munduru Olafa, po czym podszedł do starego Armina i skłonił się nisko, wyciągając ku niemu obie ręce. Celia uśmiechnęła się życzliwie. Armin ujął wyciągnięte ku niemu ręce i uścisnął je mocno. Spojrzeli sobie obaj prosto w oczy.

Jakkolwiek broda i włosy starca były okryte szronem, jakkolwiek plecy miał przygarbione, a ręce cienkie i chude, to jednak nie postarzało

się spojrzenie jego głęboko osadzonych oczu. Niby bystre oczy sokoła wwierciły się głęboko w oczy Filipa, aż do dna jego duszy — podczas gdy Filip mówił do niego głosem łagodnym. Gdy skończył, starzec odpowiedział mu w swoim języku, a nagły rumieniec, jaki oblał twarz Celi, był dla Filipa wystarczającym komentarzem do tych słów.

Tymczasem Olaf nabił swą strzelbę. Przemówił parę słów do Celi i jej ojca, po czym zwrócił się do Filipa.

— Nadchodzi chwila decydująca... Bądźmy przygotowani!

Przywiązał mocno psy do jednego z węglów chaty, aby zwierzęta, przerażone w czasie walki, nie zawadzały im.

Filip wrócił na swoje stanowisko obserwacyjne.

Sytuacja się zmieniła. Oto Eskimosi wyszli już wszyscy z lasu i zaczęli posuwać się naprzód. A szli nie jedną bezładną kupą, lecz rozstawieni w tyralierę, jeden dość daleko od drugiego, aby w ten sposób utrudnić nieprzyja-

cielowi celowanie. Zmierzali w stronę wzgórza w połowie drogi między lasem a chatą.

— Ależ ich jest chmara! — wykrzyknął Filip. — Banda Blake'a połączyła się widocznie z tamtymi — To cała armia!

Olaf spojrział przez szparę.

— Nie ma ich razem nawet stu — odparł z niezmaconym spokojem. Nie masz się czego denerwować, ale dość ich jest na to, aby każda nasza kulka trafiła, kiedy zaczną schodzić z tego wzgórza, na które właśnie się drapią. Znakomity będziemy mieli cel w porównaniu do okoliczności, w jakich padli Calkins, Harris i O'Flynn, podczas gdy ja uratowałem się ucieczką w mrokach nocy. Wówczas oni nam urządzili prawdziwą niespodziankę... Ale tym razem my ich mamy.

Rozproszona linia posuwających się czarnych sylwetek zatrzymała się niespodziewanie poza owym wzgórzem, nie posuwając się już dalej.

Olaf Anderson zamruczał z nieukontentowaniem:

— Masz sobie! Zaczynają teraz bawić się w strategów. Czekajmy więc, co dalej uradzą. Z pewnością to sprawka Blake'a.

Filip przysunął się blisko do niego.

— Słuchaj mnie, Olaf — zaczął. — Przeżywamy straszne godziny. Kto wie, czy wykręcimy się w ogóle z tej opresji? Jeżeli mam zginąć, chciałbym przedtem dowiedzieć się wielu rzeczy. Wiesz, że kocham tę tu obecną dziewczynę. Przyrzekła mi, że mnie poślubi, ale nie znam zupełnie tego języka, którym ona mówi. Nic o niej nie wiem. Kim ona jest? Skąd się tu wzięła? Co jej się właściwie przydarzyło? Czemu wówczas, gdy ją spotkałem, znajdowała się w towarzystwie Brama Johnsona? Tego wszystkiego pragnę się dowiedzieć. Musisz przecież wiedzieć wszystko, skoro umiesz się z nią porozumieć.

— Robią ostatnie przygotowania do walki — przerwał mu Olaf, nie odpowiadając od razu na postawione mu pytania. — Knują jakiś szatański plan. Patrz, formują małe grupki. Widzisz, idą nawet naprzód, niosąc duże pnie

drzewa. Podczas gdy jedna połowa czekać będzie za wzgórzem, druga rzuci się do ataku na chatkę. Te pnie drzewa służyć im będą jako tarany.

Westchnął głęboko. Potem bez żadnego przejścia, mówił dalej:

— Calkins, Harris i O'Flynn zginęli po rozpaczliwej walce, wciągnięci w zasadzkę. Opowiem ci to innym razem. Ja się wymknąłem; przez cały tydzień uciekałem przed ścigającą mnie bandą. Natknąłem się na obóz, w którym znajdował się Armin ze swą córką i z dwoma jeszcze białymi ludźmi. Byli to Rosjanie. Szli na południe; za przewodników mieli dwóch Kogmolloków z Zatoki Koronacyjnej. Na drugi dzień dogoniły nas te czarne, straszne diabły z Blakiem na czele. Pojmali nas wszystkich do niewoli. Dziwnym przypadkiem zjawił się wówczas właśnie Bram Johnson, ów zagadkowy wędrownik, idący nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd. Głupie Eskimosy uważają Brama za istotę nadnaturalną, za jakiegoś potężnego diabła, czy czarownika. A każdy z jego wilków, to

w ich oczach diabeł wcielony. Postanowili już sobie, że nas, mężczyzn, wszystkich wymordują, a Blake weźmie dla siebie młodą dziewczynę. Aż tu zjawia się Bram i nic nie mówiąc, siada sobie na ziemi, na wprost nich i patrzy tylko na nich. Zgłupieli; stanęli jak zahipnotyzowani, nie mogąc się na nic odważyć. Minął cały dzień w zupełnym spokoju. Bram nie myślał jakoś wcale o odejściu. Zauważyłem, że podniósł leżący na śniegu jeden długi złoty włos Celi i przyglądał mu się z zachwytem. Kiedy postąpiłem ku niemu, zawarczał niby dziki zwierz; widocznie lękał się, że mu ten złoty włos chce odebrać. Wówczas przyszła mi szczęśliwa myśl do głowy. Poradziłem Celi, by własnoręcznie ucięła pukiel swych włosów i wręczyła je Bramowi. Tak też zrobiła, i od tej chwili Bram czuwał nad nią z wiernością i uległością psa. Próbowałem nawiązać z nim rozmowę, ale na próżno. Ten wariat, zdaje się, nie rozumiał zupełnie, co mówiłem, mianowicie, że z chwilą gdy on odejdzie, my wszyscy i Celia zostaniemy wymordowani.

Anderson przerwał na chwilę opowiadanie i przyłożył oko do szpary między belkami.

— No, już ułożyli cały plan ataku — mówił. — Widzisz, ci, co niosą pnie drzewa, zasapali się trochę — teraz gotują się do dalszej drogi. Pilnuj dobrze strzelby, Fil! Zaczniemy strzelać, gdy będą w połowie drogi do chaty, nie wcześniej. Tak będzie lepiej i pewniej... Otóż wracam do mego opowiadania:

— Minęło kilka dni. Bram oszczędził ze swymi wilkami — wybrał się na polowanie. W czasie jego nieobecności Blake z Eskimosami napadł na nas. Obaj Rosjanie zginęli. Ja i Armin broniliśmy się rozpaczliwie, zasłaniając Celię własnym ciałem. Nagle zjawia się Bram, niby piorun z jasnego nieba. Nie miesza się zupełnie do walki, tylko po prostu porywa Celię, sadza ją na swoje sanie i odjeżdża razem z nią galopem. Korzystając z chwilowego zamieszania, próbuję uciekać razem ze starym. Ale naturalnie daleko zejść nie mogliśmy. Opatrzność jednak czuwała nad nami. Natknęliśmy się na tę chatkę. Za-

mknęliśmy się w niej i odtąd przez czterdzieści dni, przez czterdzieści nocy...

Nie skończył zdania. Huknął strzał ze strzelby Olafa i jeden Eskimos koziółkując runął na ziemię.

ROZDZIAŁ XXVI. ZAKOŃCZENIE

W chwilę później i Filip wystrzelił do najbliższej grupki Eskimosów. Dym zasłonił zupełnie wąski otwór strzelnicy. Gdy dym ustąpił, Filip przekonał się, że i jego strzał był celny: na śniegu czerniał już drugi zabity.

— Doskonale! — mruknął Olaf.

W stronę chatki podchodziło pięć grup Eskimosów, każda po ośmiu ludzi, niosąc grube i ciężkie pnie. Filip i Olaf strzelali w dalszym ciągu do pierwszej, najbliższej grupy. I znowu czterech napastników zważyło się na ziemię. Dwaj pozostali uciekli, porzucając niesione drzewo.

W tej chwili Filip, który właśnie nabił świeżo strzelbę, spostrzegł, że Celia stoi obok nie-

go. Przyłożyła oko do szpary w ścianie, chcąc naocznie przekonać się, jak sprawa stoi. Podczas ostatniego aktu rozgrywającej się obecnie tragedii, dawała wszystkim przykład nieustraszonej odwagi.

Olaf Anderson odezwał się:

— Załatwiliśmy się z sześcioma. Reszta cofnęła się, wszyscy ukryli się za tym wzgórzem. Teraz zaczną strzelać do nas salwami. Uwaga!

Filip dał Celi znak, aby przeszła na przeciwną stronę izby, jak najdalej od Eskimosów. Cienkie ściany izby mogły być łatwo przebite kulami. Ulokował ją koło kupy drzewa przygotowanego na palenie; tam również schronił się stary Armin, stojący dotychczas na czatach przy drzwiach z pałą w ręku.

W kilka minut później posypał się na chatkę grad kul, uderzających monotonnie o drewnianą ścianę.

Jedna kula przebiła drzwi, odpyskując kawał drzewa, który upadł opodal Celi. Ugodziła jednego z psów, który zawył przeraźliwie z bólu, szarpiąc się i wyrywając jak szalony.

Olaf Anderson nie śmiał się już wcale. Wyglądał strasznie.

— Nachylcie się! — krzyknął rozkazująco. — Nachylić się nisko, do ziemi! Słyszycie?...

Sam dał pierwszy przykład, przyklękając na oba kolana. Powtórzył rozkaz po rosyjsku, by go Armin i Celia mogli zrozumieć.

— Mają tyle kul, że mogą całą chałupę podziurawić jak sito. Najgrubsze i najmocniejsze belki są u dołu. Kładźcie się wszyscy na ziemię tak jak ja, aż zaprzestaną strzelać.

Rozciągnął się jak długi na ziemi, z głową zwróconą do środka izby, nogami do ściany.

Filip nie od razu usłuchał rozkazu Olafa; podszedł najpierw do Celi. W tej chwili świsnęła znów kula, odrywając mu kawałek kołnierza.

Ułożył się tedy na ziemi, obok Celi, zasłaniając ją własnym ciałem od strzałów.

Kule przebijały cienkie ściany chatki i leciały jak grad. Jedne opadały na ziemię, nie czyniąc szkody, inne niszczyły wszystko, co tylko na drodze spotkały.

— Leżcie zupełnie płasko! — krzyczał Anderson. — Jedyłą osłoną dla nas jest ten najniższy rząd belek ściennych...

Jeden z psów trafiony kulką w łeb, zawył żałośnie. Podskoczył, skręcił się i padł martwy.

Filip obejmował Celię swym ramieniem, tuląc ją do siebie mocno. Czyliż to już koniec? Oboje przywarli ustami do siebie. Takież to ma być ich ślubne łóże? Przyszło mu na myśl, że jego pierwszej śmierć spotkać musi, niż Celię, którą osłania własnym ciałem. A gdyby wówczas Blake, czy to przypadkiem, czy wiedziony jakimś szatańskim instynktem, kazał zaprzestać ognie, ona dostałaby się żywa w jego ręce!... Ach, to przecież byłoby potworne!

Nagle strzelanina ucichła.

Czyżby Kogmolloki wyczerpali już zapasy amunicji? Czy może chcieli tylko odpocząć trochę? A może przygotowują się do szturm na chatkę, pewni, że ich nieprzyjaciele nie są już zdolni do walki?

Po paru minutach wyczekiwania Olaf odważył się dźwignąć z ziemi. Filip zamierzał wła-

śnie zrobić to samo, aby się przekonać, co się tam dzieje, kiedy nagle rozległ się donośny, dziwny krzyk. Ten głos nie był im obcy!

— Wielki Boże — zakrzyknął Olaf. — To Bram Johnson we własnej osobie!

Bram Johnson! Na dźwięk tego imienia Celia i jej ojciec zerwali się z ziemi. Wszyscy czworo przyłożyli oczy do otworów w ścianie chatki. Rzeczywiście z lasu wychyliła się olbrzymia postać Brama. W ręku trzymał swą ogromną, ciężką pałkę, wymachując nią groźnie. Przed nim zaś pędziły straszliwe wilki, rozwijając się w półkole na śnieżnej równinie. Bram zachodził od tyłu i atakował Eskimosów!

Kogmolloki również go już dostrzegli. Żaden z nich jednak nie skierował ku niemu strzelby, żaden nie odważył się wystrzelić. Stali jak porażeni ze strachu na widok tego strasznego, krzyczącego szaleńca i jego dzikiej hordy. A kiedy ochłonęli z trwogi, zaczęli uciekać na wszystkie strony, jak gdyby sam czart ze swymi sługami deptał im po piętach.

Ale już wilki rzuciły się na nich. Gnane rozkazującym krzykiem swego pana, goniły jednego Eskimosa po drugim, zawracając uciekających w stronę Brama. A ten walił w nich swą ciężką maczugą, mordując bez litości.

Olaf Anderson odsunął zaporę u drzwi i otworzył je. Razem z Filipem wypadli z chatki i rzucili się w pościg za rozproszonymi Eskimosami. Ten, kto zdołał ujść ciosu z ręki Brama, ten padał od ich strzałów. Huk strzałów i zapach prochu podniecały jeszcze bardziej wściekłość Brama i jego wilków, spragnionych krwi. Na próżno Eskimosi błagali o litość; krzyk zamierał im w gardle. I wkrótce ostatnie niedobitki zniknęły w lesie, a za nimi puścił się w pościg Bram ze swoimi wilkami.

Filip, trzymając dymiącą jeszcze strzelbę w ręku, zwrócił się do swego towarzysza. Na twarzy poczciwego Szweda zajaśniał znów ów śmieszny grymas, choć cały trząsł się jeszcze ze wzruszenia.

— Nie będziemy ich gonić — oświadczył, siadając na porzuconym przez Eskimosów pniu

drzewa i ocierając spocone czoło. — Bram ze swoją hordą wystarczy, by dać im należną naukę. A sądzę, że on powróci tutaj, gdy się z nimi załatwi... A obecnie byłbym zdania, że należałoby nam przygotować się do powrotnej drogi. A ty, jak sądzisz, co?... Co do mnie, mam już dosyć tej chatki! Czterdzieści dni i czterdzieści nocy siedziałem w niej zamknięty! To mi zupełnie wystarczy... Możesz mi odstąpić trochę tytoniu do fajeczki?... Zapalimy sobie i dokończę ci opowiadanie, które cię tak interesuje... Otóż mówiliśmy, że księżniczka Celia i jej ojciec...

— Co?... Kto?... Księżniczka?...

— Dawajże twój tytoń!...

Filip podał mu woreczek z tytoniem. Olaf naładował fajeczkę i zaczął mówić:

— Celia urodziła się w Danii. Matka jej, która wyszła za mąż w Rosji za prawdziwego księcia, umarła już we wczesnej młodości. Celia od dzieciństwa wychowywała się u ojca. Działo się to za panowania cara Mikołaja II. Na skutek intryg dworskich, w które, o ile mo-

głem zrozumieć, był wmieszany słynny mnich, Rasputin, ojciec Celi został aresztowany. Osadzono go w podziemiach więzienia fortu św. Piotra i Pawła w Petersburgu. Tam przesiedział jakiś czas, w zupełnym zaniedbaniu i poniżeniu, a tymczasem nieprzyjaciele jego podzielili między siebie miliony i dobra. Ostatecznie skazano go na wygnanie do wschodniej Syberii, na Kamczatkę. Krewni jego i serdeczni przyjaciele, którym udało się uciec do Londynu, zaopiekowali się małą Celią. Wkrótce po wybuchu rewolucji rosyjskiej i zamordowaniu Rasputina ci właśnie przyjaciele wynajęli okręt i zabrawszy ze sobą księżniczkę, wyruszyli w drogę celem oswobodzenia biednego wygnańca i przewiezienia go do Europy. Początkowo wszystko szło gładko. Okręt przepłynął Morze Śródziemne, kanał Sueski, Ocean Indyjski po czym skierował się na Morze Chińskie. Odnaleźli księcia Armina; postarzał się wprawdzie przedwcześnie, ale żył i był zdrowy. Wobec sprzyjającej pory roku postanowili wracać krótszą drogą.

Pewien amerykański pilot podjął się poprowadzić okręt przez cieśninę Beringa i Ocean Północny do Ameryki. Przeprowa nie udała się: okręt ugrzązł wśród lodów w Zatoce Koronacyjnej. Trzeba było zostawić okręt i puścić się w dalszą drogę saniami pod przewodnictwem Eskimosów. Reszta jest ci już mniej więcej znana. Trzeba było staczać ustawiczne walki z wrogimi szczepami. W czasie tych walk wszyscy niemal Rosjanie stopniowo wyginęli. Księżniczka Celia opowie ci to wszystko dokładnie, mój stary, skoro nauczysz się jej języka. Jeżeli poślubi cię naprawdę, musi się jakoś przyzwycząić do Ameryki, bo, co prawda, dzisiejsza Rosja niewiele więcej dla niej warta, niż Rosja carska.

Kiedy Olaf kończył swe opowiadanie, nadeszła Celia. Zarzuciła ramiona na szyję Filipa. Pierwszy to raz los wrogi dla nich odwrócił się — nic im już nie groziło...

Nazajutrz, późnym popołudniem, sanie sunęły w górę Miedzianej Rzeki, po jej zamarznętym korycie. Nagle z oddali uszu podróżników doleciały przeciągłe wycia wilków Bra-

ma Johnsona. Brzmiało to niby daleki poszum fal morskich, coraz bardziej oddalający się, aż wszystko ucichło.

Z zapadnięciem nocy rozbito obóz. Wszyscy zmęczeni byli porządnie. Na straży czuwał przez całą noc Olaf Anderson, otulony w futro, ściągnięte z jednego z Eskimosów, poległych na polu walki. Dwukrotnie jeszcze w ciągu nocy dolatywał go dziwny gwar, w którym krzyk ludzki mieszał się z ujadaniem wilków.

Przez cały następny dzień jechano w kierunku południowo-zachodnim, bez żadnego wypadku. Wieczorem rozbito namiot na skraju małego lasu, gdzie pełno było zeschniętych gałęzi. Rozpalono duże ognisko, którego blask płynął daleko w śnieżną biel Barrenu.

Tego to wieczoru zjawił się niespodziewanie Bram Johnson, milczący i wspaniały. Jakkolwiek wszyscy spodziewali się tej wizyty, Bram zjawił się tak nieoczekiwanie, że wszyscy drgnęli na jego widok.

Człowiek-wilk trzymał w prawej ręce jakiś dziwny przedmiot, wielkości kamienia brukowego, owinięty w futro Eskimosa.

Bram zdawał się nie widzieć nikogo prócz Celi. Stał chwilę, oświetlony blaskiem ognia, i wpatrywał się w nią. Potem podszedł do niej i mruczając coś niezrozumiale, złożył ów pakunek u stóp Celi. W chwilę później już go nie było.

Olaf Anderson wstał, podniósł ów pakunek i odchylił okrywające go futro. Filip spostrzegł, że Olaf zmarszczył brwi. Następnie Olaf zabrał ów pakunek, poszedł z nim w głąb lasu, a po paru minutach wrócił z pustymi rękami. Śmiejąc się, przemówił kilka słów do Celi.

Odprowadził Filipa na bok i tak mówił:

— Powiedziałem jej, że Bram przyniósł jej w prezencie kawał nieświeżego mięsa. Lepiej jej nie mówić całej prawdy. W rzeczywistości była tam ucięta głowa Blake'a, którą Bram złożył jej w hołdzie. Wiesz zapewne, że Kogmolloki mają ten miły zwyczaj ofiarowywania osobie

ukochanej w darze głowy zabitego nieprzyjaciela. Po cóż ona miałaby to oglądać.

W archiwach królewskiej policji Northlandu znaleźć można nieraz osobliwe historie. Bram Johnson ma tam również swoją rubrykę. W dużej kopercie, starannie schowanej, mieszczą się wszystkie urzędowe akta, odnoszące się do jego sprawy.

A więc najpierw krótkie zeznania zacnego i dzielnego kaprała, Olafa Andersona z fortu Churchill. Następnie szczegółowe zeznania podpisane przez pana Filipa Branta, jego żonę i ojca lady Brant. Do dokumentów tych dołączony jest jeden egzemplarz urzędowego rozporządzenia, w myśl którego Bram Johnson został ułaskawiony i z wyjątego spod prawa zbrodniarza staje się jednym z pupilów Dominium Kanady.

Odtąd nie grozi mu żadne absolutnie prześladowanie ze strony policji. Rozporządzenie brzmi jasno i wyraźnie: „Brama Johnsona na-

leży pozostawić w spokoju”. Tak brzmi owo rozporządzenie, naprawdę mądre i ludzkie.

Niezmierzony jest ten szmat ziemi, po której Bram może swobodnie się błąkać i tam też poluje on w towarzystwie swych wilków, przy bladym świetle księżyca i mruganiu złocistych gwiazd.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zlotesidla>

Tekst opracowany na podstawie: James O. Curwood, *Złote sidła*, tłum. Kazimierz Rychłowski, wyd. Morex, Warszawa 1994

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: *Pejzaż zimowy*, Fałat, Julian (1853-1929), domena publiczna

ISBN 978-83-288-0140-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji